ŚWIAT

CENA 1 ZŁ.

Nr. 35 29. VIII. 1936 r.

w numerze:

Pływacka sztafeta olimpijska 4 x 100 m., która zdobyła dla Europy nagrodę przechodnią. W sztafecie dwie niemki, dwie holenderki.

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXI. Nr. 35 — 29. VIII. 1936



Na froncie powstańców hiszpańskich młode dziewczyny z Czerwonego Krzyża noszą uniform żołnierski i dzielą dolę żołnierzy.

AXEL

TRYUMFY BARBARZYŃSTWA

Gdyby połowa tych okropności, które opisują korespondenci zagraniczni w Hiszpanji była prawdą — już wystarczyłoby, aby wstrząs grozy przejmował nas do głębi. Krew się leje. Okrucieństwa i pożoga idą w parze po obu stronach walczących. Wojna domowa przyjęła charakter długotrwałej wojny pozycyjnej. Ale daleko poza frontem dbywają się rozstrzeliwania masowe bez sądu niemal. Czterdziestu, stu, siedmiuset przeciwników politycznych rozstrzeliwuje się lub ...topi.

Historja oficerów rosyjskich, topionych w Kronstadzie z kulą u nogi „aby na dnie morza stali na baczność“ — powtarza się na drugim końcu Europy z jakiemś zapamiętałem okrucieństwem. Korespondenci francuscy, angielscy piszą o palonych żywcem, o krzyżowanych, otwieranych grobach, o masakrach bezlitosnych. Dzienniki nawet radykalne podają fotografje wyrzuconych z trumien zakonnic, zmarłych przed stu, dwustu laty. Walka anarchistów z komunistami już podjęta jest ideowo, a choć niema rozłamu między temi frakcjami „Frontu Ludowego“, bo huczą armaty generałów Franca i Mola, to jednak wyścig zniszczenia, proklamowany przez anarchistów, godzi zarówno w komunizm, jako ideę reżymu, jak i w wysadzony już z siodła władzy socjalizm i radykalizm. Tem tylko można tłomaczyć tę tragiczną corridę, w której na arenie walk padają tysiące ludzi, w której ofiary za frontem, są bardziej godne pożałowania niż ci, co w okopach, fortach czy przesmykach górskich stają się pastwą mitraljez, bagnetów i bomb! Kopja okrucieństw pierwszych walk i zwycięstw bolszewickich reprodukuje się w Hiszpanji z tą samą bezwzględnością. Tryumf samosądu, tryumf średniowiecznej ohydy mordowania zakładników, dobitnie potwierdza to, cośmy pisali parę tygodni temu, gdy pierwsze starcia miały miejsce. „To nie walka o wolność ludu — to walka o dyktaturę“. Dyktatury proletarjatu w Hiszpanji już nie ma — tam już panuje dyktatura anarchji!

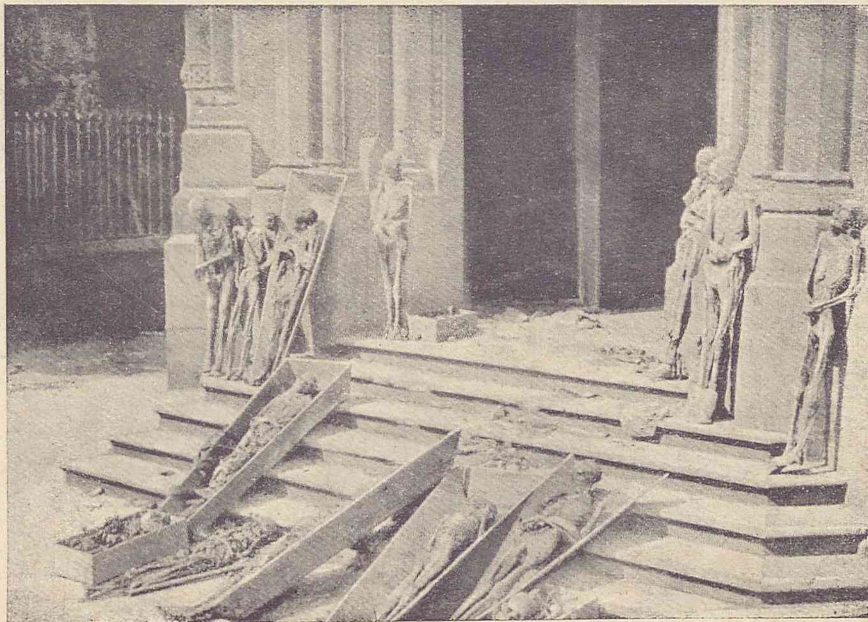
Co ma wspólnego z wolnością ludu wyrzucanie na ulicę zwłok zmarłych przed dwoma, czy trzema setkami lat — zakonników czy zakonnic?!

U satrapów wschodu, Katarzyn i Iwanów, znany był system zbiorowej odpowiedzialności: mordowano wsie całe lub zsyłano do katorgi za jakieś niewykryte przestępstwo. Brano zakładników — karano rodziny, nawet stare kobiety i dzieci. Dziś w chwili najwyższych natężeń cywilizacji i postępu *walczący pod sztandarem rządu* obrońcy St. Sebastian — grożą zamordowaniem 1500 zakładników, o ile miasto będzie bombardowane!

Takie są nowoczesne metody walki o państwo, tam gdzie, jak słusznie powiedział stary rewolucjonista i republikanin hiszpański Unamuno, toczy się walka barbarzyństwa z cywilizacją.



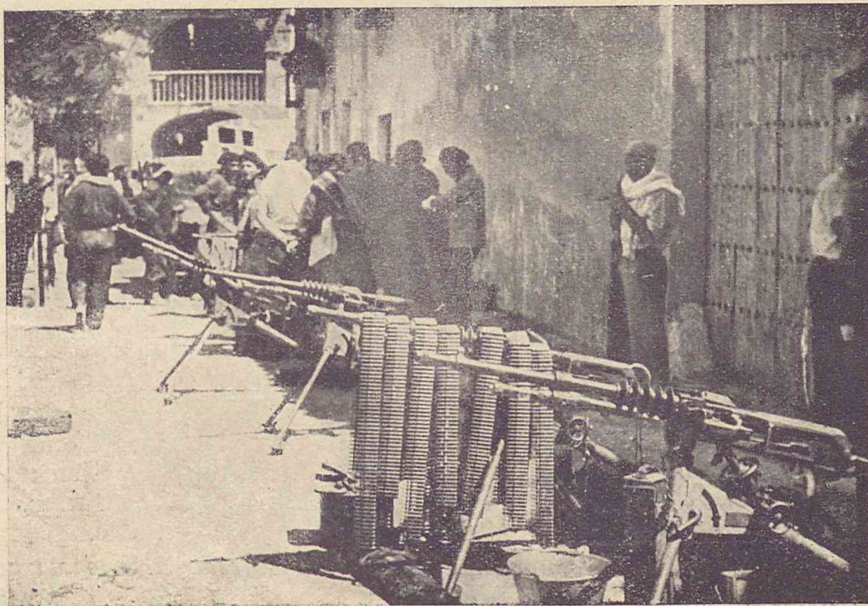
Spotkanie dwuch wodzów armji powstańczej — gen. Franco i gen. Mola, w Burgos. Od lewej: gen. Cavalcante, gen. Franco i gen. Mola.



Zdjęcie obok: W Barcelonie barbarzyństwo „rządowców“ posunęło się do bezczeszczenia grobów. Wywleczono z cmentarzy trumny ze zwłokami braci karmelitów — i wystawiono na ulicę. na widok publiczny.



Zdjęcie obok: Forpoczty powstańców na froncie pod Samosierrą.



Zdjęcie obok: Krwawe walki między Barceloną a Saragossą. Wojska rządowe wraz ze swemi karabinami maszynowemi rozbiły obóz na ulicach Bujaraloz.

POŁÓW PEREŁ

To i owo z Olimpjady

Murzyn Owens zdobył trzy złote medale. Dzięki niemu trzy razy na maszcie olimpijskim powiewała chorągiew Stanów Zjednoczonych, a hymn „ojczyzny" rozbrzmiewał na cały świat.

Jak „ojczyzna" podziękowała trzykrotnemu medaliście?

Ponieważ był zmęczony po Olimpjadzie i odmówił udziału w igrzyskach pokazowych w Sztokholmie — przeto go najzwyczajniej... *zdyskwalifikowano!*

„Murzyn zrobił swoje — murzyn może odejść".

Bo można murzyna zasługi zarachować na konto „ojczyzny" — ale witać murzyna jako tryumfatora po jego powrocie — byłoby w obecnych warunkach w Stanach Zjednoczonych jednak troszeczkę — niewygodnie.

Szukano też zapewne jakiegoś wyjścia z tej skomplikowanej sytuacji...

Głupi murzyn ułatwił sprytnemu „białemu bratu" postawienie czarnego z powrotem na właściwe miejsce.

×

No więc jeszcze raz: „słaba płeć"...

Grzecznie zapytamy: która?

Bo, jak obliczył „Express Poranny" — w klasyfikacji ogólnej nasze lekkoatletki uzyskały świetne miejsce: drugie za niemkami, a narówni ze Stanami Zjednoczonemi. Gdybyż tak i nasi zawodnicy męscy...

Ale oni byli skromniejsi: szli przeważnie w ogonie.

×

Fotografowano a fotografowano tych „złotych medalistów" — zwłaszcza gdy szli do loży Hitlera, aby od niego usłyszeć słowa powinszowania. Tych zdjęć z Führerem było mnóstwo — i każdy zawodnik — medalista czemprędzej się w takie pamiątkowe zdjęcie zaopatrywał.

Tylko Owens nie miał szczęścia.

Za skarby świata nie można było podobno dostać obrazka, na którym wódz rasistów byłby uwieczniony w chwili, gdy ściska dłoń człowiekowi odmiennego koloru.



Próżność — ale czy tylko kobieca?

Statystycy obliczyli w Stanach Zjednoczonych, że kobiety wydają tam rocznie na kosmetyki, instytuty piękności, fryzjerów, etc. — słowem na swą urodę — okrągłą sumkę 800 miljonów dolarów!

Przerażające — powie moralista. Trwonią pieniądze! Mężczyźni powinni im zabronić!

Ba — kiedy autorytet mężczyzn w tej materji takoż dziwnie podupadł. Bo panowie stworzenia tamże — na cele analogiczne — wydają też jednak, jak się okazało... 600 miljonów.

Co nas zresztą, prawdę rzekłszy, wcale nie gorszy.

Jest to razem sumka półtora miljarda dolarów — która daje zarobek napewno miljonom ludzi w fabrykach, sklepach, instytutach, etc.

I wreszcie — wolimy, szczerze mówiąc, gładko ogolonego, codziennie kąpanego, starannie ostrzyżonego i nawet mistrzowsko wymasowanego Yankesa — od rozczochranego, brudnawego, porośniętego sarmaty, z wieczną żałobą za paznokciami.

W Kielcach urzędują

Okólnik premjera Składkowskiego o urzędowaniu ściśle od godziny 8 rano ciągle jeszcze jest bardzo aktualny.

W tych dniach wojewoda kielecki dokonał lustracji biur zarządu miejskiego w Kielcach — naturalnie o godzinie 8 rano. Biura okazały się — puste.

Nie było *ani jednego* urzędnika!

Polska zaprasza turystów

Afisze reklamujące piękno naszego pejzażu — owszem są. Niektóre bardzo dobre. Zdobią ściany różnych biur podróży zagranicą. I nawet tych pożądanych turystów przyciągają. Przyjedzie czasem taki jeden z drugim z czystej, bezinteresownej chęci zobaczenia innego kraju, poznania jego mieszkańców, jego obyczajów.

Ach, i poznają...

Szwajcar jeden w swej podróży motocyklem naokoło świata zahaczył o Polskę. Będzie ją długo wspominał: skradziono mu walizę z garderobą i dokumentami. Właśnie w momencie, gdy jako „nietutejszy" zwrócił się do „tutejszych" o jakąś informację.

Szwed pewien w tramwaju w Warszawie utracił portfel z pieniędzmi — warszawski doliniarz postarał się, aby cudzoziemiec dobrze zapamiętał Polskę. Nota bene Szwed był — dziennikarzem. Pyszny złapał materjał do reportażu — taki żywy i autentyczny, że lepszego wymarzyć nie można!

Setka egipskich studentów przyjechała na turystyczną wycieczkę do Polski. Buchnięto im cenny aparat fotograficzny.

Ano, cóż — „gość w dom, Bóg w dom".

I — „czem chata bogata, tem rada".

Potęga filmu

Niecierpię kina. Cóż robić. Ale przyznaję mu olbrzymie znaczenie w życiu współczesnem. Może niedostatecznie się nawet u nas docenia potęgę tego najpopularniejszego środka porozumiewania się z masami.

Docenił go w całej pełni kościół anglikański. Oto, jak się dowiadujemy, pięćset kościołów angielskich w każdą niedzielę po nabożeństwie przekształca się — w kino. Dostarczają swym wiernym starannie wybranej, przystępnej i godziwej rozrywki.

Blady strach padł na kiniarzy angielskich, których zakłady, jak wiadomo, zgodnie z angielskiemi przepisami, zamknięte są w niedziele.

Taka konkurencja...

Jasnowidz — nie przewidział

Wszystko wiedział: na jaki numer wygrasz na loterji. I jakie imię ma ciocia twojej mamy. I kolor włosów twojej wczorajszej sympatji. I jakie masz zmartwienia. I jak poprawić twoje interesy. I jakie ziółka ci pomogą na porost włosów.

Wszystko wiedział. Wszystko przewidywał. Wprost — czytał w przyszłości.

Jednego tylko nie przewidział.

Że oto dnia pewnego przyjdzie do niego policja, zrobi dokładną rewizję — i te stosy horendalnych piśmideł pornograficznych, któremi „jasnowidz" tak hojnie handlował — skonfiskuje.

I jakże teraz będziemy żyli bez Szyllera - Szkolnika?

Kto nam przyszłość przepowie, kto?

Taka „firma" zachwiana... Taka, można powiedzieć, narodowa instytucja...

Co nasza młodzież wie o Ojczyźnie?

W „Polsce Zbrojnej" czytamy uwagi oficera W. P. w notatce „Niedomagania nauki o Polsce":

„Leżą przede mną prace młodych ludzi. Roczniki 1913, 1914 i 1915-ty. Temat — niedawno wprowadzona „żołnierska wiedza o państwie" w zakresie, który każdy obywatel z wykształceniem, nawet mniej niż średniem powinienby już posiadać.

W szeregu starannie przygotowanych lekcyj wykładano im wiadomości o Polsce wczorajszej (od roku 1863) i dzisiejszej. Zważywszy, że słuchaczami byli wyłącznie maturzyści, wykłady traktowano jako powtórzenie, rozszerzenie i naświetlenie rzeczy, zdawałoby się już znanych ze szkolnej ławy.

A oto rezultaty tej dodatkowej w wojsku pracy:

— Absolwent gimnazjum matematyczno - przyrodniczego pisze, że w roku 1908 Austrja wypowiada wojnę Japonji i wtedy powstają legjony Piłsudskiego.

— Wychowanek seminarjum nauczycielskiego przypisuje odbudowę wojska w r. 1918 „legjonowi Gorczyńskiego", który wtedy się tworzy.

— Magister praw i początkujący publicysta stwierdza w pięknym zwrocie: „akt 5 listopada 1916 r. był dziełem cesarza rosyjskiego Mikołaja Mikołajewicza(!) zapowiadającem autonomję Polski w granicach możliwości prawnych ówczesnego ustroju imperjum rosyjskiego".

Ktoś inny przypisuje, już nieco słuszniej, ten akt cesarzowi Wilhelmowi i... Ferdynandowi(!).

— Przy ustnych repetycjach młody nauczyciel szkół powszechnych nie zdaje sobie sprawy, kiedy Polska odzyskała niepodległość. Na pytanie zaś — w obchodzie jakiej to rocznicy, przypadającej 11 listopada, brał udział przez dobrych kilka lat ławy szkolnej — staje zupełnie bezradny.

Myślę też, że usprawiedliwioną była moja gorycz, gdy od maturzysty, który „właśnie z tego zdawał przy maturze, więc umie", dowiedziałem się, że do bloku państw centralnych w wielkiej wojnie należała Rosja, Austrja i Niemcy, i że na ziemiach polskich w związku z tem nie toczyły się żadne wówczas walki! Był to młodzieniec ze środowiska inteligenckiego, absolwent niezłego gimnazjum prowincjonalnego i doskonały piłkarz".

Wszelkie komentarze wydają się zbyteczne.

Łysina górą!

Na sezon zimowy panowie — według postanowień fryzjerów paryskich — mają nosić fryzury wyjątkowo uproszczone: najmodniejszem uczesaniem będzie ...łysina. Kto nie jest tak szczęśliwy, żeby posiadać łysinę naturalną, ma w imię nakazów mody zgolić głowę... na zero.



Poczciwi fryzjerzy!

Piękne włosy „płci brzydkiej" nie będą modne — bo stają się coraz rzadsze. Więc precz z nimi!

Przypomina się bajeczka Lafontaine'a o lisie i winogronach.

Ze szczytów Parnasu

Ludzie dzisiaj naogół — nawet ludzie bardzo kulturalni — nie lubią poezji. Dzisiejsza twórczość nie przemawia do czytelnika. Czy można mu się dziwić, gdy czytamy takie oto elukubraty, popełnione przez „poetę" Jana Brzękowskiego:

„młoda dziewczyna o oczach jak chabry
o chabrach jak: ach.
o chabrach jak H
uderza w serce w narodowe barwy
i bawi i barwi
barwami
bar
w
snach".

Konia z rzędem temu, kto te banialuki zrozumie.

Para koni z wozem temu, kto się temi bzdurami — wzruszy.

A chyba, jak dotąd, to właśnie bywało celem poezji...

Już?

Wielomiljonowa Fundacja Jakóba Potockiego na cele naukowe nie ma jakoś szczęścia. Podczas administrowania jej przez wykonawców testamentu — społeczeństwo sarkało, że administracja kosztuje dużo, a na cele naukowe pozostają sumy znikome. Zaledwie kilkunastu uczonym przyznano z tej olbrzymiej fundacji jakieś skromniutkie stypendja.

Fundację z rąk wykonawców przejęły obecnie inne władze, wyznaczone przez rząd. Społeczeństwo odetchnęło i z otuchą patrzało w przyszłość. No, teraz zacznie się działalność naukowa na całego! Teraz popłyną dla nauki miljony!

No tak. Zaczęło się. Zaczęło się od tego, że... skasowano od dnia 1 października wszelką wypłatę stypendjów. Dwunastu uczonych, jak donosi „Kurjer Polski", już otrzymało od Zarządu Fundacji odpowiednie listy hiobowe.

Już?

TADEUSZ WITTLIN

KOPENHAGA... OWSZEM, OWSZEM

(Z cyklu „PODRÓŻE EKSCENTRYCZNE)

Pałac Amalienborg w Kopenhadze.

— Dzieńdobry! Dzieńdobry!— z uroczym uśmiechem przywitała mnie hrabina Alaboneur, gdy po dłuższej nieobecności znów raczyłem zjawić się na przyjęciu w jej skromnym pałacyku w Alejach Ujazdowskich. Podobno wrócił pan z dalekiej podróży, — dodała, wręczając mi do ucałowania wypielęgnowaną dłoń. — Proszę, niech pan siada.

Z najbliżej stojącego adamaszkowego fotela zepchnąłem jakąś sędziwą staruszkę, jak się później okazało, matkę pani domu i z wdziękiem zająłem jej miejsce.

— Byłem w Danji — odrzekłem krótko. — Zwiedziłem Kopenhagę, czyli uroczy klucz Bałtyku.

— Niech nam pan coś o tem opowie! — zawołała baronowa Żewupri — Pan tak ślicznie i ciekawie opowiada!

— No chyba! — przytaknąłem skromnie.

— Zatem słuchamy!

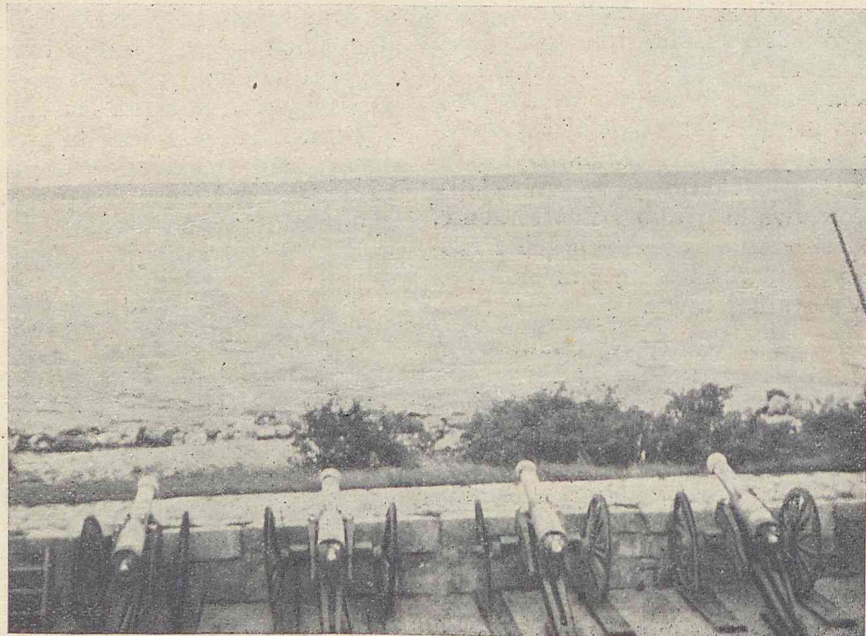
— Dobrze robicie — zaaprobowałem. — Gdy znalazłem się w Gdyni na pokładzie, każdemu już dzisiaj dobrze chyba znanego, statku „Kościuszko", należącego do Polskich Linij Żeglugowych Gdynia — Ameryka, Warszawa, Plac Małachowskiego 4, zapisać! i statek, opleciony warkoczem różnobarwnych serpentin jął przy dźwiękach orkiestr odbijać od brzegu, zrozumiałem, że wycieczka do Kopenhagi, to będzie wielka i wyjątkowa frajda!

— Co takiego? — nie rozumiejąc spytała nieśmiało baronowa Żewupri i spojrzała na mnie przez złote lorgnons, przyłożone do czerwonego nosa.

— Frajda — powtórzyłem — czyli: zabawa, przyjemność, rozkosz, to takie poetyckie określenie — objaśniłem. — Stalowe morze, zahartowane w ogniu płomiennego słońca, lekko unosiło szybki statek w stronę wybrzeży Północnej Zelandji. Wokoło: spokój i cisza... Ponad białym okrętem, huśtającym się na powierzchni szmaragdowej wody, unoszą się dwie śnieżne mewy, niczem dwa białe motyle nad kielichem jakiegoś fantastycznego kwiatu, rozkołysanego wiatrem na olbrzymiej, zielonej łące... Ładnie powiedziane, prawda? Chciałybyście umieć tak mówić, ale daleko wam do mnie! — wtrąciłem nawiasem, a zasłuchane panie spojrzały na mnie z nieukrywanem uwielbieniem. Tak, taka podróż, to istotnie najwspanialszy poemat, jeśli jeszcze nadmienić, że do lunchu dają prawdziwy astrachański kawior, rydze oraz inne tym podobne smakołyki.

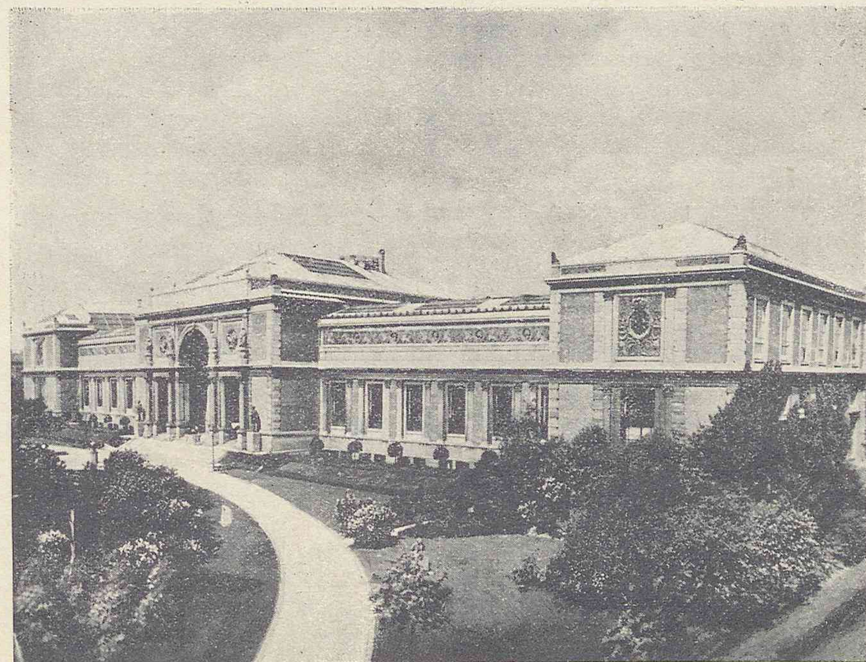
Zapada noc... schodzę do kajuty, w której małe, okrągłe okienko stało się idealną ramą, oprawiającą miedzianą pełnię pięciogroszówki księżyca, a o świcie pilot wprowadza nas do portu i po opuszczonym trapie zstępuję na duńską ziemię.

Starannie unikając spontanicznych owacyj zebranych tłumów, wychodzę incognito na miasto. Ledwo znalazłem się na ulicy, gdy wzrok mój padł na fronton wytwornego kina „Triangel", wyświetlającego film z Kiepurą. Więc poto musiałem przepłynąć morze, ażeby... ach, ty kochany chłopaku z Sosnowca! — uśmiechnąłem się do rozśpiewanej postaci na afiszu, poczem pokrzepiony na duchu tem spotkaniem, z zapałem rozpocząłem zwiedzanie stolicy Danji.



Średniowieczne armaty w Kronborg.

Oglądam Muzeum Narodowe, muzeum rzeźby Thorvaldsena, gdzie mam możność przywitać się z pomnikiem Księcia Józefa i Mikołaja Kopernika, następnie dębieję w Gliptotece, zawierającej niesamowite zbiory greckie i egipskie, rozdziawiam gębę przed dziełami holenderskich mistrzów z siedemnastego wieku w Pałacu Sztuki, wreszcie wsiadam w taxę i objeżdżam miasteczko: Ratusz, Operę, Amalienborg, Giełdę, Prezydjum Rady Ministrów i Zoo. Duński zwierzyniec jest ciekawy nietylko dzięki znajdującym się w nim okazom, ale ze względu na swe położenie. Zajmuje bowiem olbrzymi obszar łąk, na których pasą się puszczone luzem liczne stada saren, danieli, zebr i t. p. Jest to taki kopenhaski ogród Hagenbecka, czyli: Kopenhagenbek.



Gliptoteka.

Wieczór. Walę więc oczywiście prosto do Tivoli, to huczący kanonadą różnobarwnych ogni sztucznych, oświetlony miljonem lamp, lampek i lampionów — Lunapark.

Dziesiątki przeróżnych karuzeli, kolejek górskich, przemyślnych motorówek, tramwaików, strzelnic, kół szczęścia, krzywych zwierciadeł i siłomierzy. Wszystkie te imprezy, mimo, że ogłaszają wcale słone ceny, oblężone są przez tłumy publiczności. Robotnik duński, który przeciętnie zarabia 300 koron (sześćset złocisżów!) lekką rączką zmienia tu wąskie, sztywne dwudziestaki. Wogóle panujący w Danji powszechny dobrobyt, na każdym kroku zewsząd bije w oczy, a w szczególności turystę z Polski, i to bije na kwaśne jabłko już w pierwszej rundzie knock-outem. Szerokie, ukwiecone ulice, wieczorami oświetlone rzęsistemi, choć gazowemi, latarniami, lśnią przesadną czystością wyfroterowanej posadzki w mieszkaniu pedantycznej ciotki. Porzuconych papierów, czy niedopałków papierosów, nie widzi się zupełnie, co jest wręcz niewytłumaczone wobec całkowitego braku ulicznych koszów do śmieci.



Jarmark rybny w Kopenhadze.

Aczkolwiek w niedzielę i święta sklepy są zamknięte, to jednak można nabyć prawie wszystko, gdyż niemal każdy magazyn ustawia przed wejściem automat ze swemi towarami. Papierosy, cygara, papier listowy, atrament, klisze, filmy, igły gramofonowe, masło, pomidory, sardynki, jaja, kanapki, koniak, za wrzuceniem monety wyskakują szybko, tanio, uprzejmie i dokładnie.

Z Tivoli powracam późną nocą spłókany doszczętnie, lecz zato z wystrzelonemi dwoma psami, wygraną małpą i zdobytym słoniem.

Nazajutrz urządzam generalny objazd całej Danji, czyli wyobrażam sobie, że jestem premjerem na inspekcji. Pierwszy mój etap, to starożytny zamek Frederiksborg. Jadąc doń, spotykam po drodze mnóstwo ludzi na rowerach: starzy, młodzi, dorośli i dzieci. Nawet niemowlęta jadą w

małych, umyślnie skonstruowanych krzesełkach, umocowanych do kierownicy stalowego rumaka ojca lub matki. Małżeństwa często jeżdżą wspólnie na tandemach.

W Danji rowery są publiczne. Na każdym placu, czy rynku, przed pocztą, czy kolejowym dworcem stoi mnóstwo miejskich rowerów, z których korzysta się bezpłatnie. Każdy, kto chce, może wsiąść i pojechać dokąd mu się żywnie podoba, poczem na łasce losu pozostawia rower nie troszcząc się więcej o niego, gdyż wie, że inny przechodzień pojedzie wkrótce na tej maszynie w innym kierunku. W Danji bowiem nie znają zupełnie złodziejów, bezwzględna uczciwość jest tam całkowicie oczywista i niedopuszczająca jakichkolwiek odmiennych możliwości czy niespodzianek. Przedmiot pozostawiony przez rozstargnienie na ławce lub w parku, może leżeć tak długo, dopóki prawy właściciel nie wróci po niego. To rozumiem! A nie, jak u nas, choćby nie przymierzając tutaj: siedzę u państwa i opowiadam różne cuda, a jednocześnie drżę, czy mi z przedpokoju kto parasola nie świśnie!

— Ależ panie Hipolicie! — oburzyła się pani domu.

— Wiem, wiem — uspokoiłem hrabinę — to tylko taka literacka metafora. Dzięki tej szczęśliwej właściwości oraz wrodzonemu spokojnemu usposobieniu — podjąłem opowiadanie — Duńczykom raczej zbyteczni są stróże publicznego porządku. Policjant duński, to w białych rękawiczkach i czarnym, lśniącym od złota galonów mundurze, bądź starszy, szpakowaty pan w binoklach, czytający sobie na służbie gazetę, bądź też, młody, przystojny chłpiec, spacerujący w czasie dyżuru pod rękę z narzeczoną. Zresztą, ponieważ i ruch uliczny regulowany jest automatycznie, zapomocą świateł, zapalających się co 20 sekund, policjantów w Kopenhadze, liczącej około miljona mieszkańców, można policzyć na palcach.

Po dłuższej jeździe autem, wysiadam na dziedzińcu starożytnego Frederiksborgu. Zamek ten, który przed trzystu laty niemal doszczętnie spłonął, został odbudowany dokładnie według zachowanych rycin i obecnie stanowi muzeum. Oglądam więc obwieszone licznemi herbami sale: Krystjana IX-go, Fryderyka III-go, wielką Komnatę Rycerską, poczem wstępuję do pozostawiającego niezapomniane wrażenie, zamkowego kościoła.

Z Frederiksborgu rozpoczynam szturm na pałac Fredensborg, który, zdobywam bez trudu po upływie pół godziny. Fredensborg, to letnia rezydencja królewska. Nieduży, biały, piękny w swej prostocie budynek, tonie w zieleni iście królewskiego ogrodu.

Po krótkim postoju, rozpoczynam stąd, zakończoną powodzeniem, inwazję na miasto Helsingör, gdzie wznosi się prastary zamek Kronborg. Dawna, obronna forteca, stojąca wysoko na olbrzymich wałach, piętrzy się tuż nad samem morzem. Zamek ten obrał sobie Shakespeare za tło do „Hamleta". Na wałach tej twierdzy miał to właśnie ukazywać się o północy duch ojca duńskiego królewicza i prowadzić długie, ponure dysputy ze swym potomkiem, który wyrzekł pamiętne słowa: „Być, albo nie być".

— No i co? — spytał mnie przysłuchujący się ciekawie Lolo, ośmioletni synek hrabiny, czyli mały chrabąszcz.

— No i... był, albo nie był — objaśniłem dziecku. — Jeżeli wyjrzeć poza forteczne mury, otoczone szmaragdowem morzem — opowiadałem dalej — dostrzec można brzegi Szwecji. Dziś oba te państwa, proszę państwa, które niegdyś wiodły z sobą zażarte boje, żyją w zażyłej przyjaźni, wzmocnionej węzłami pokrewieństwa między obydwoma dworami panujących. Nic dziwnego zatem, że wybrzeża pilnuje teraz zaledwie jeden wartownik, zaś wytoczona na dziedziniec i skierowana w stronę morza baterja armat, stanowi muzealny zabytek średniowiecznego sprzętu wojennego. Atoli całość wygląda równie groźnie, jak i malowniczo.

Wojsko duńskie jest barwne, niczem oficerowie z wiedeńskich operetek. Błękitny uniform, czapka z dyndającym złotym chwastem, niemal admiralska szpada, śnieżne rękawiczki i takaż szarfa, przecinająca pierś munduru— oto strój zwykłego żołnierza gwardji. Podobnie rozjeżdżający listonosze w czerwonych fraczkach do białych koszul i czarnych spodni, robią wrażenie wyciętych z jakiejś barwnej angielskiej ilustracji żokiejów, i złośliwie posadzonych na rowery.

Na statek powracam wybrzeżem wzdłuż zabudowanej małemi willami duńskiej Riviery, mijając po drodze piękne kąpielisko Bellevue.

Późnym wieczorem, przy dźwiękach orkiestry opuszczam brzegi Danji. Powoli wypływamy z portu. Noc. Wkrótce statek znów jest sam w nieprzeniknionej ciemności, prując granatową materję morza i nieba...

Stoję samotny na pokładzie białego statku, jak Lohengrin na łabędziu...

— Ach, ta Kopenhaga jest słodka! — słyszę nagle nad uchem.

Oglądam się: przy mnie stoi jakaś chuda, smutna pasażerka, zapatrzona w dal.

— Jestem oczarowana tem miastem — mówi do mnie — nawet napisałam o niem wiersz. Niech pan posłucha.

I nieproszona zaczęła:

Jeśli Cię zmaga
Spleen, smętek, zgaga,
Wiedz: Kopenhaga
Na to pomaga.
Nie Rzym, nie Praga,
Ni Ljon, ni Haga,
Lecz Kopenhaga
Siły Twe wzmaga.
Człek się nie wzdraga,
Gdyż w nim odwaga,
Spokój, powaga
I równowaga.
Prawda to naga,
Nie pusta blaga,
Że Kopenhaga,
Jak głosi saga...

Dwa precyzyjne kopsańce, wymierzone przezemnie z celnością Wilhelma Tella przerwały dalszy tok deklamacji. Rozległ się cichy plusk wody i milcząca toń zamknęła się nad ciałem poetki, mimowoli spieszącej na audjencję do starego Neptuna.

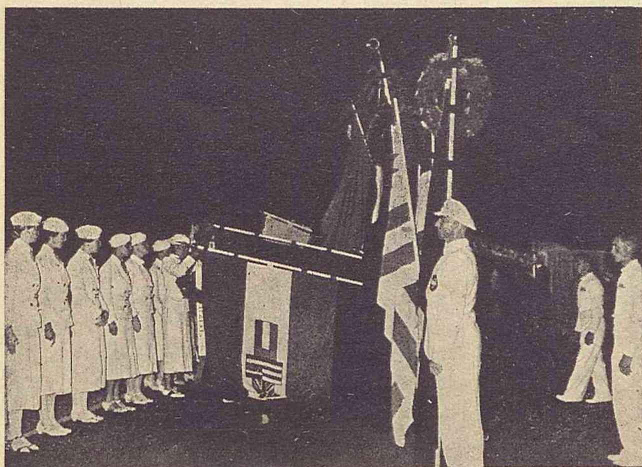
Nazajutrz przybiliśmy do Gdyni...

Piękna była podróż do Danji. Piękna i choć krótka, jak sen jaki złoty, wspaniała i niezapomniana...

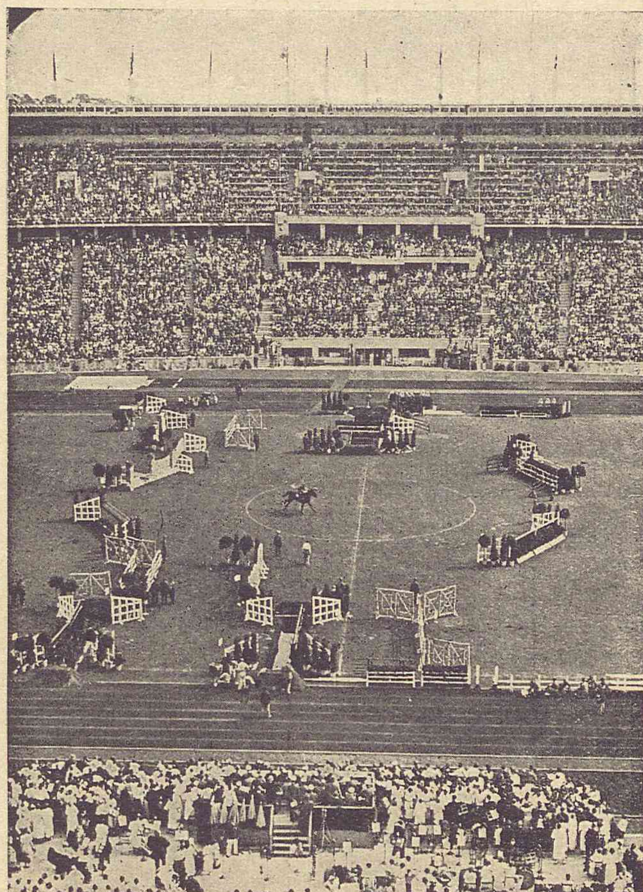
P. S. Opis wrażeń z Danji całkowicie prawdziwy, reszta zaś, to t. zw.: „licentia poetica" T. W.

Z OSTATNICH DNI OLIMPIADY

UROCZYSTOŚĆ ZAMKNIĘCIA IGRZYSK OLIMPIJSKICH



Sztandary 53 narodów spłynęły z masztów otaczających stadjon. Młode dziewczęta przy dźwiękach pieśni wieńczą sztandary laurem i wstęgą XI Olimpjady.



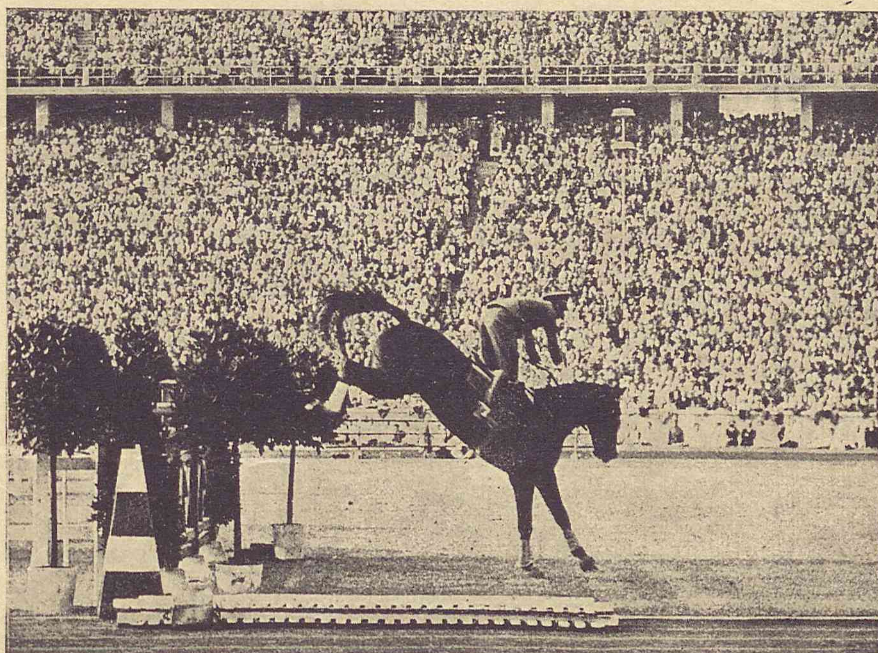
Piekielnie trudny parcours z przemyślnie ustawionemi przeszkodami ustawiono dla jeźdźców w biegu o Puhar Narodów. Zwyciężyła ekipa niemiecka, która niewątpliwie miała możność wyćwiczenia swych koni na tym specyficznym torze.

ZŁOTY MEDAL PŁYWACKI



Młoda pływaczka holenderska, Ria Mastenbroeck, zdobyła dla Holandji dwa złote medale za 100 m. i za 400 m. Zdjęcie nasze przedstawia ją w chwilę po zwycięstwie, w objęciach uszczęśliwionej matki.

ZŁOTY MEDAL ZA JAZDĘ INDYWIDUALNĄ



Porucznik Hasse w skoku na świetnej klaczy „Tora", zdobywa złoty medal w jeździe o Puhar Narodów.

PERYPETJE PARYSKIEGO ŁUKU TRYUMFALNEGO



Łuk Tryumfalny w Paryżu, oświetlony reflektorami w dni uroczyste.

W końcu lipca roku bieżącego słynny paryski Arc de Triomphe obchodził swój stuletni jubileusz. Czytelnik, mający choćby tylko przybliżone pojęcie o historji, zastanowi się: jakto? Przecież Łuk Tryumfalny budował Napoleon ku chwale swych zwycięskich armji — a Napoleon w roku 1836 już dawno nie żył. Łuk Tryumfalny zatem musi być o wiele, przynajmniej o ćwierć wieku, starszy...

Niby tak. Ale wałściwie inaczej. A to dlatego po prostu, że decyzja wzniesienia Łuku oraz zatwierdzenie jego planów — były dziełem Napoleona. Ale wykończenie budowy i inauguracja dzieła gotowego — nastąpiły już po śmierci cesarza. Budowa bowiem trwała ni mniej ni więcej — tylko całych lat trzydzieści.

W roku 1806 Napoleon postanowił, że Łuk Tryumfalny, który upamiętni potomnym zwycięskie wojny cesarstwa, ma być najwspanialszy i największy ze wszystkich, jakie kiedykolwiek w ciągu wieków wzniesiono. Zaaprobował też wkrótce projekt architekta Chalgrin, a że z cesarzem nie było żartów, budowę zaczęto w szybkiem tempie. Rozmiary dzieła były istotnie imponujące: największy z łuków tryumfalnych Rzymu starożytnego, t. j. Łuk Konstantyna w Rzymie, ma 21 metrów wysokości, a Łuk na wysokość 49½ metra. Cesarz chciał swem dziełem zaćmić Tryumfalny Napoleona mierzy wszystko, co było przed nim.

Gotowe w najdrobniejszych szczegółach plany Chalgrina uzupełnione też były ścisłym preliminarzem wydatków: budowa miała kosztować przeszło 7 miljonów franków, co Napoleon zresztą uważał za sumę nadmierną i polecił zastosować pewne oszczędności. Nawiasem mówiąc, po trzydziestu latach budowy — koszta wzrosły, i zamknęły się sumą 9 miljonów franków.

Budowa, zaczęta położeniem kamienia węgielnego w roku 1806, nie postępowała jednak bardzo szybko: kiedy w roku 1810 młoda cesarzowa, druga żona Napoleona, Marja Ludwika, przybywała do Paryża — Łuk Tryumfalny wznosił się zaledwie na kilka metrów nad ziemią — i uzupełniono go nagwałt na tę uroczystość, ustawiając z desek i gipsu na gotowych już fundamentach model łuku ściśle taki, jakim miał być po wykończeniu. W ten sposób młoda cesarzowa odbyła swój wjazd do Paryża zgodnie z życzeniem Napoleona — z największą pompą, a paryżanie mieli sposobność ujrzenia, jak naprawdę będzie wyglądało to dzieło, którego dokończenia nie mogli się jakoś doczekać.

Po wjeździe cesarzowej łuk-model czemprędzej zburzono i przystąpiono do dalszej budowy rzeczywistej. Niestety w rok potem — t. j. w r. 1811 — umarł twórca projektu Łuku i jego główny kierownik budowy, Chalgrin. Ale uczeń jego i współpracownik, Goust, przejął od swego mistrza wszystkie szczegółowe plany i kontynuował budowę bez zmian.

Zmiany zato nastąpiły w innej dziedzinie: zaczynało brakować pieniędzy. Fenomenalne szczęście powoli odwracało się od Napoleona.

Po upadku Napoleona, rzecz prosta, budowa została przerwana. Któżby wznosił monumenty sławiące człowieka, który dogorywał na zesłaniu? Któżby potem chciał uczcić zmarłego wygnańca?

Burboni zamierzali podobno zrównać z ziemią zaczętą już budowlę — ale nastroje paryżan, grożących zato rozruchami, powstrzymały ich od lekkomyślnego kroku. Nie mogąc zatem budowy zaniechać, postanowiono ją kończyć — ale dedykując ją komu innemu. Ludwik XVIII, korzystając z tego, że książę d'Angoulême z pewnem powodzeniem poprowadził parę pułków do Hiszpanji na pomoc Ferdynandowi VII — postanowił tej właśnie ekspedycji dedykować... Łuk Zwycięstwa. Przyznać trzeba, że dysproporcja między Ulm i Austerlitz a wyprawą księcia d'Angoulême była rażąca. To też groteskowy pomysł królewski szybko został zarzucony.

Rewolucja roku 1830 stwarza wobec wznoszonej budowli nowe nastroje. Roboty prowadzone są w tempie bardziej intensywnem, a pomimo rywalizacji następujących po sobie architektów, dzieło wreszcie, według planów swego pierwszego projektodawcy, zostało ukończone w roku 1836.

Inauguracji miał dokonać osobiście król Ludwik Filip.

W ostatniej chwili rozmyślił się i planowanej wielkiej rewji wojskowej, która miała stanowić punkt kulminacyjny uroczytości — wogóle nie urządzono. Tłomaczono to ludowi rozmaicie — ale francuzi i tak wiedzieli swoje: Ludwik Filip poprostu stchórzył.

Czasy były niespokojne. Zamachy na króla powtarzały się z ponurą regularnością. W roku poprzednim zamach Fieschiego (maszyna piekielna umieszczona na drodze króla) — usiał trupami ulice Paryża. Osiemnastu ludzi straciło życie, a król i następca tronu ocaleli rzeczywiście cudem. W roku 1836 zaś, na kilkanaście dni przed inauguracją Łuku Tryumfalnego, inny zamachowiec, Alibaud, zaczajony na drodze orszaku królewskiego strzelił — ale chybił. Król zatem nie miał wielkiej ochoty wystawiać się znowu na bezpośrednie niebezpieczeństwo przez asystowanie w ciągu dłuższego czasu na publicznej uroczystości, gdzie mógł być niezmiernie łatwo dosięgnięty ręką morderców.

Czyniono wprawdzie w związku z tem rozliczne i ostrożne przygotowania. Postanowiono, że król umieszczony zostanie podczas rewji w jednej z nisz Łuku Tryumfalnego, tak że z tyłu i z boków będzie całkowicie osłonięty przez mury, zaś z przodu miał być umieszczony przed królem cały sztab wojskowy i cały gabinet ministrów, którzy stanowić mieli jakby puklerz ochronny dla monorchy. Specjalnie przezorne były przygotowania, podjęte przez premjera Thiersa, który przez szereg dni codzień odbywał próbną przejażdżkę konną na rumaku, przeznaczonym na ową uroczystość. Aby się koń nie przeląkł *wystrzałów, których powszechnie oczekiwano,* podczas przejażdżki premjera strzelano rumakowi niemal prosto w uszy wielokrotnie. Tak „ostrzelany" nie straci spokoju — nie poniesie — nie pomnoży nieuchronnego zamieszania, rozumowano.

Przygotowania te jednak okazały się najzupełniej zbyteczne: król pod wpływem nalegań swej rodziny zrzekł się wogóle asystowania przy tej uroczystości — a więc i tresura konia Thiersowego była niepotrzebna.

Inauguracja odbyła się zupełnie inaczej, niż przewidywano. Odzwierciadliła ona w całej pełni małość ludzi rządzących, którzy tak bardzo bali się Wielkiego Cienia. Koło godziny 7 rano, dnia 29 lipca 1836 roku dwuch panów zajechało przed Łuk Tryumfalny. Byli to dwaj ministrowie królewscy, panowie Thiers i Argour. Przyjęło ich sześciu policjantów, którzy nawet nie mieli okazji do „pilnowania porządku".

Przechodniów o tej porze za miastem — bo wtedy Place de l'Etoile leżał za miastem — nie było ani na lekarstwo.

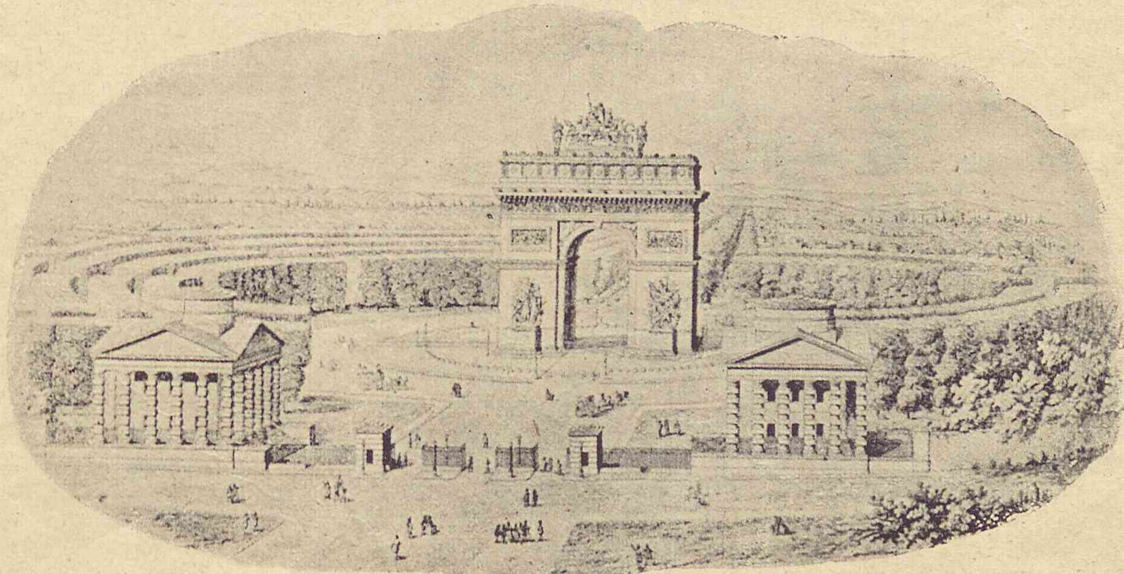
Stary gwardzista cesarski, wyprężony służbiście na baczność, opuścił dla przybyłych ciężki łańcuch żelazny, zamykający wejście pod Łuk Tryumfalny. Dwaj panowie ministrowie weszli pod sklepienie — bez pompy i bez wzruszenia — „poszwędali się" tu i owdzie, nie starając się nawet wywołać nastroju uroczystego. I jak przyszli, tak poszli.

Tak się odbyła sto lat temu inauguracja najwspanialszego Łuku Tryumfalnego w dziejach świata. Inauguracja oficjalna.

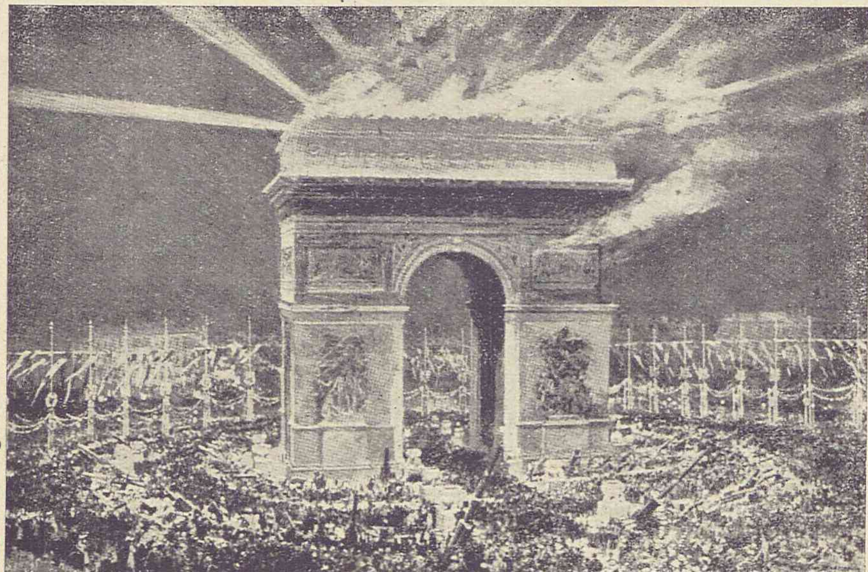
Nieoficjalna była nieco inna.

Setki i tysiące paryżan, tłumy dawnych wiarusów napoleońskich — ciągnęły tygodniami, aby zatrzymać się w tem miejscu, które im przypominało Cesarza. Ten Łuk Tryumfalny — to był symbol ich zwycięstw, symbol jego wielkości — ich miejsce pielgrzymek i rozpamiętywań.

Miejsce to wyglądało wówczas inaczej, niż dzisiaj. Strzelista perspektywa Pól Elizejskich, dziś jeszcze ciągle piękna, mimo że obudowały ją wielopiętrowe kamienice, wtedy była cudowna: majestatyczna aleja, obramowana wieloma rzędami drzew, kończyła się okrągłym placem, na którym nie było czywiście ani jednego domu. Cały plac otoczony był kilkoma rzędami wysokich szpalerów strzyżonych, które stanowiły artystycznie wymarzone tło, uwypuklając wspania-



Place de l'Etoile i Łuk Tryumfalny sto lat temu.


Łuk Tryumfalny w blasku ogni w dniu święta narodowego 14 lipca 1919 roku.

łość sylwetki napoleońskiego Arc de Triomphe. Ilustracja nasza daje dokładne pojęcie o wyglądzie otoczenia Łuku Tryumfalnego jeszcze w kilka lat po inauguracji.

Potem — przyszła w olbrzymim tempie idąca rozbudowa Paryża, wytknięto piękne ulice i aleje i — Arc de Triomphe znalazł się wkońcu w mieście. Na jednym z najpiękniejszych placów świata — ale jednak już w otoczeniu mniej romantycznem, mniej oderwanem od codzienności, jak przed stuleciem.

Złożenie pod jego sklepieniem ciała bohatera Wielkiej Wojny— Le Soldat Inconnu — było ukoronowaniem i usankcjonowaniem Łuku Zwycięstwa jako miejsca najdroższego sercu każdego francuza. Od czasu powstania Łuku miejsce to było bowiem związane z chwilami dla kraju pamiętnemi. Wśród nich najbardziej wzruszającą była ta, kiedy pod Łukiem Zwycięstwa, wzniesionym z woli Napoleona — przystanęła w ostatniej wędrówce trumna ze zwłokami cesarza. Więzień z Wyspy Ś-tej Heleny wracał, aby na ziemi francuskiej spocząć na wieki.

Było to w roku 1840.

B. P.

Ilustracje niniejszego artykułu pochodzą z roczników „Ilustration"

PLOTKI

Dobrze użyte pieniądze

Rząd francuski niedawon zainaugurował szereg uroczystości dla uczczenia miljardera amerykańskiego John'a D. Rockefellera. Nie jest to główny Rockefeller — jest to Rockefeller-junior. Liczy on wprawdzie 62 lat, ale „główny" senjor ma lat 97.

Rockefeller-junior ma gest istotnie pański i to mądrze pański. Wydał on bowiem we Francji przeszło 3 miljony dolarów. Wśród tych wydatków figurują takie pozycje, jak: odbudowa katedry w Reims, odrestaurowanie zamków historycznych w Wersalu i Fontainebleau. Ogółem Rockefeller-junior rozdzielił ostatnio na różne cele 167 miljonów dolarów. Z tego 12 miljonów poza Stanami. Dzielą się te sumy następująco: 3 miljony na ofiary głodu, na Chińczyków, Japończyków, Hindusów; 2 miljony na bibljotekę Ligi Narodów; miljon 680 tysięcy na muzeum archeologiczne w Palestynie; 1.500.000 dolarów na uniwersytety w: Heidelbergu, Getyndze, Londynie.

Wydatki i cele wzniosłe. W ten sposób część fortuny zdobytej, niezawsze w... rękawiczkach — staje się własnością powszechną.

Ku pamięci

Ponieważ w przyjaźni naogół jesteśmy szczerzy — a czasami nawet naiwni — przeto nie od rzeczy będzie przypomnieć słowa, które nie tak dawno, bo w roku 1934 w miesiącu czerwcu, drukowało oficjalnie niemieckie wydawnictwo kolonjalne:

„Musimy żądać, by wreszcie już raz i nazawsze zaprzestano bronić tej, zdecydowanie fałszywej tezy, iż polityka „Drang nach Osten" — najoczywiściej konieczna i zbawienna — stoi w sprzeczności z dobrze pojętą polityką kolonjalną, równie niezbędną, jak tamta. Bo, przeciwnie, nietylko polityka parcia ku wschodowi nie jest sprzeczna z polityką kolonjalną, lecz właśnie najdoskonalej się one nawzajem dopełniają, dla dobra Trzeciej Rzeszy, o które walczymy i pragniemy walczyć bezustanku".

Jakież to państwo znajduje się bezpośrednio na wschodzie od Niemiec? Jakiemu więc państwu zagraża niedwuznacznie „Drang nach Osten?"

Owoce i trupy

Przechodzień pewien w Warszawie stanął przed Halami Mirowskiemi i aż go zatknęło: zobaczył karawan, z którego wynoszono — nie trupa, jakby należało oczekiwać. Wynoszono — kosze z owocami!

Jak zbadała wezwana policja — karawan wracał właśnie z pogrzebu, i nie chcąc tracić czasu i energji — zabrał po drodze ładunek... 300 kilo owoców.

Właściciel karawanu nie był, jak mówi lud nasz, „zbrzydliwy" — i wprost nie mógł zrozumieć, dlaczego się go czepiają i konfiskują mu takie piękne jabłka?

Może zrozumie to lepiej podczas rozprawy sądowej.

CZY PANI WIE, ŻE...

... pokrzywa, zwyczajna i tak bardzo pogardzana pokrzywa — jest jednym z najpewniejszych, wyprobowanych przez prababki środków na porost włosów.

Jeżeli pani włosy wypadają — a jeżeli nie pani, to już napewno panu — proszę skorzystać z ostatnich dni lata i spreparować na wsi lekarstwo, które napewno będzie skuteczniejsze od wielu reklamowanych a drogich specyfików. A kosztować będzie — tylko trochę starania, i mało co ponadto.

Wyjdzie pani na spacer z łopatą w ręku — i przy najbliższym krzaku pokrzywy nałoży rękawiczki, aby się nie poparzyć. Obetnie pani łodygi i liście — odrzuci je — choć też mogłyby się przydać, ale o tem pomówimy kiedyindziej. Poczem wykopie pani same korzenie pokrzywy — nie parzą — można brać śmiało do ręki. Przyniósłszy do domu, należy je pokrajać na kawałki około 10 centymetrów długości, i doskonale wypłukać w zimnej wodzie, aby dokładnie zmyć z nich ziemię. Wysuszyć ściereczką do sucha, i posiekać lub pokrajać na kawałki, około 1 centymetra długości. Odmierzyć ich ilość, najlepiej szklanką. Na jedną pełną szklankę pokrajanych korzeni należy w słoju nalać trzy szklanki czystego spirytusu. Zawiązać słój od góry płótnem i wystawić na słońce na sześć do ośmiu tygodni.

Poczem naciągnięty płyn przecedzić przez rzadkie płótno i zlać do butelki. Płynem tak otrzymanym należy nacierać skórę głowy trzy razy na tydzień. Włosy przestają wypadać i wzmacniają się w sposób zdumiewający.

■

... fasolę w konserwie można zrobić łatwo samej, zamiast przepłacać potem w zimie fasolkę z puszek. Oto oryginalny przepis francuski:

Przygotować przedewszystkiem wodę na konserwy. Gotować przez pięć minut cztery litry wody z jednym kilogramem soli kuchennej i ostudzić ją zupełnie. Ta ilość wody wystarcza na 3 i pół kilo fasolki, którą należy oczyścić z włókien, wrzucić do gotującej wody czystej i gotować pięć minut. Zaraz wyjąć fasolkę z rondla, pod kranem płukać strumieniem zimnej wody, wysuszyć na sicie. Nakładać fasolkę do zwykłych szklanych słojów albo do kamiennych garnków, zalewać uprzednio przygotowaną *wystudzoną* słoną wodą tak, aby je przykryła. Na wierzch nalać cienką warstwę oliwy. Nic tak dobrze nie konserwuje, jak właśnie oliwa.

Zalać słoje pechem. Przy użyciu w zimie płukać dokładnie fasolkę w kilku wodach i gotować zupełnie tak, jakby była świeża.

■

... jeżeli rondle i naczynia kuchenne bardzo są zatłuszczone, najlepiej je myć, dodając do gorącej wody trochę octu. Ocet, jak wiadomo, rozpuszcza tłuszcze, i niezmiernie przez to ułatwia utrzymanie naczyń kuchennych w czystości.

■

... okna najładniej myją się papką, zrobioną z kredy, do której dolano po równej ilości amonjaku i denaturatu. W tak rozrobionej gęstej papce maczać miękki gałganek, nacierać prędkiemi ruchami szybę, i zaraz drugą, najlepiej flanelową czystą ściereczką, wycierać do sucha i do „glansu".

Ów glans otrzymujemy rzeczywiście wspaniały — i żadne mozolne szorowanie na mokro: wodą, mydłem etc nie da nigdy tak pięknych, lustrzanych szyb, jak ten szybki i prosty sposób.

■

... spirytus kamforowy, który kupujemy w aptece albo w składzie aptecznym, można sobie bardzo łatwo sporządzić w domu: na 10 gramów kamfory nalewamy pół litra czystego spirytusu — i pozostawiamy aż do zupełnego rozpuszczenia. Ten wszechstronny kosmetyk świetnie zwęża pory, oczyszcza skórę, przywraca jej jędrność. Zwilżać nim bez silnego nacierania twarz, szyję, ramiona, na noc.

■

... „życie" jedwabnych pończoch można bardzo przedłużyć, traktując je umiejętnie, zwłaszcza przy praniu. Prać je najlepiej w wodzie, w której nastrugano i rozgotowano niewielką ilość mydła marsylskiego prawdziwego, lub białego mydła barskiego. Po rozgotowaniu — do mydlin gorących dolać zimnej wody, tak aby nigdy nie była więcej niż letnia. Roztrzepać mydliny na pianę, w tej pianie zanurzać i *wyciskać* pończochy, *nie trąc* ani *nie wyżymając*. Po wypraniu spłókać w letniej czystej wodzie — poczem zanurzyć je na kwadrans w wodę letnią, do której na miednicę dolano dwie łyżki octu winnego. Konserwuje on znakomicie kolor jedwabiu oraz jego elastyczność.

Wyjąwszy pończochy z wody z octem, wycisnąć je tylko w czysty ręcznik i powiesić w miejscu chłodnem, gdyż od gorąca jedwab będzie trzaskał.

Pończochy prawdziwe jedwabne — bo o paskudztwie, sprzedawanem jako jedwab w Warszawie, nie mówię wcale — pończochy jedwabne zatem nie powinny być nigdy prasowane. Do wysuszenia należy je tak umiejętnie i starannie wyciągnąć, aby miały swój fason, a po wysuszeniu przeprasować tylko letniem żelazkiem samą stopę, aby była gładka i nie urażała nogi.

■

... czas pomyśleć o futrze? Jesień za pasem — a kupowanie w gwałcie nigdy się nie opłaca. Wieści z Paryża głoszą, że fasony tej zimy będą bardzo rozmaite: poczynając od wygodnego, luźnego płaszczyka trzyćwierciowego, aż do długiej do kostek, wciętej w pasie i silnie w dole kloszowej redingote. Kołnierze w dalszym ciągu nieduże — fantazyjne, wiązane, płaskie. Rękawy natomiast przeważnie bardzo obszerne, wymyślnie wypracowane, niezmiernie pomysłowe. Największem powodzeniem cieszyć się będą w nadchodzącym sezonie futra szlachetne, mianowicie czarne karakuły, karakuły szare, prawdziwe lutry, brajtszwance. Nie wspominam tu o futrach najdroższych — sobole, gronostaje, szenszyle są dla polek naogół zupełnie niedostępne. To, co zagranicą uważa się za średnią normę płaszcza popołudniowego dla dobrze ubranej kobiety — to jest płaszcz nurkowy — u nas zawsze jeszcze budzi sensację i jest niestety rzadkością. Wedle stawu grobla.

J. LEWIS

ŁUNA NA WSCHODZIE

LISTY Z JAPONJI (KORESP. WŁASNA)

Jeszcze jedna wojna?

Krucze wieści pesymizmu nie próżnują. Przesada czy manja prześladowcza? Ani jedno, ani drugie. Poprostu logika rozwojowa imperjalizmu japońskiego. Europa ma tyle kłopotów i własnych zmagań, że zdawałoby się, iż mogłaby zobojętnieć na dalekie południa, czy dalekie wschody. Tak jednak nie jest. W imperjaliźmie japońskim mieszczą się... ziarna cyklonu. Można usypiać swój niepokój odległością tego cyklonu, trzeba jednak wiedzieć o jego istnieniu i wzmaganiu się natężenia tego politycznego huraganu.

Kiedy, gdzie uderzy Japonja?

Obecnie dla obserwatorów na miejscu, dla znawców zagadnienia w tem pytaniu mieści się istota sprawy. Nie *czy* uderzy, tylko *jak?*

Terenem dziś zagrożonym są oczywiście Chiny północne. Tam właśnie rozpoczął się ponowny ruch wojsk japońskich. Polityka Japonji prowadzona jest z matematyczną dokładnością. Obecnie istnieją tylko dwa zagadnienia dla Japonji — ogarnięcie Chin Północnych ze względów ekonomicznych: utrzymanie nadzoru i kontroli nad Mandżurją z nakazów strategicznych.

Cała zaś ta polityka wypływa przedewszystkiem ze względów demograficznych. Przyrost ludności w Japonji jest nieustanny, od roku 1926 do 1930 ludność wzrosła o 4,700,000 osób. A w tym samym okresie emigrowało z Japonji zaledwie 280,000. W Mandżurji niema więcej niż 250,000 japończyków — a na całym świecie emigracja nie przewyższa miljona.

„Chleba i pracy", a raczej „ryżu i pracy" wołają te zastępy. Aby rozwiązać tę konieczność, Japonja musi prowadzić politykę rozwoju przemysłu i to w tempie szybkiem, bez wahań — zastój, to głód a nawet śmierć setek tysięcy ludności.

Początkowo wszystko sprzyjało eksportowi japońskiemu: dewaluacja yena, taniość produkcji, opieka państwa! Aż nagle wszystko się zmieniło. Kryzys światowy, obrona rynków wewnętrznych i wreszcie dramatyczny rezultat: 49 państw zabroniło importu towarów japońskich — pierwsze półrocze 1936 r. dało 300 miljonów yen deficytu!

Szybka obrona — to konieczność państwowa.

Charakter przemysłu japońskiego był przetwórczy. Obecnie Japonja sprowadza surowce, a eksportuje prawie wyłącznie towar przerobiony.

Jakież może być w tym wypadku hasło gospodarki narodowej?

Nowe rynki zbytu! Tanie surowce! — oto nakazy gospodarcze Japonji.

W tym nakazie życia gospodarczego Japonji, znajdziemy odpowiedź na jej politykę. Chiny Północne — to teren niesłychanie bogaty i posiadający wszystkie niezbędne dla Japonji surowce.

Żelazo, węgiel, antracyt w pierwszej mierze, wszystko to znajdzie Japonja w Chinach Północnych. Ale nietylko to — znajdzie tam również 70 miljonów ludności, która kupować



...od roku 1926 do 1930 ludność Japonji wzrosła o 4.700.000 osób...

będzie dostarczone towary japońskie. W ten sposób mamy odpowiedź na pytanie *gdzie?*

Temu jednak „kontynentalnemu" programowi Japonji przeciwstawiają się Sowiety.

Aby móc na wypadek wojny uniemożliwić kontratak Sowietów z Chinami i traktowanie Chin przez Sowiety, jako podstawy zaopatrzenia, Japonja dąży do przecięcia tego ewentualnego połączenia, a na to *musi posiadać* Mongolję Wewnętrzną.

Mongolja Wewnętrzna — kraj słabo zaludniony, prawie pustkowie, jest wymarzonym terenem komunikacyjnym — tam na równinach może hulać armja zmotoryzowana! Gdyby Sowiety zajęły tę Mongolję — utrzymanie tworu Japonji Mandżu-Kuo kosztowałoby wiele wysiłków i pieniędzy. Do tego Japonja nie może dopuścić. Posiadanie Mongolji Wewnętrznej jest więc dla niej kwestją życia i śmierci — i jest ono poczęści już dokonane, aczkolwiek w sposób zamaskowany.

Dokonano tego pod hasłem „Politycznej autonomicznej mongolskiej Rady antykomunistycznej". Jest ona zupełnem narzędziem w rękach Japonji. Za jej sprawą „doradcy" japońscy umieszczeni zostali w różnych gałęziach administracji Mongolji. Ostatnio na jej terytorjum zaczęto budować koszary japońskie.

Ale nietylko budują się koszary. Garnizony japońskie w północnych Chinach zwiększają się. Wojsko stale, małemi partjami przybywa. Patrząc na nie widzimy, świetnie wyekwipowane grupki żołnierzy o twarzach i spojrzeniach skoncentrowanych, baczних, świadomych swego celu. A cel ten wyraźnie określają sfery wojskowe, domagając się „rozszerzenia w Chinach Północnych sfery wpływów Japonji". Widocznie dla tego rozszerzenia wpływów w prowincji Hopei (jednej z dwuch pierwszych, która w listopadzie zeszłego roku odłączona została od Nankinu, przechodząc pod władzę „Komitetu politycznego"), japończycy w gwałtownym tempie reperują i budują drogi, zakładają telefony, systematycznie umocowując ośrodki łączności.

Wszystkie te przygotowania, ta systematyczna choć nerwowa praca wskazują, że ognisko, z którego może powstać wielka łuna na Dalekim Wschodzie zostało już założone. Małe, drobne, skupione postacie snują się dokoła, dokładają drewek, znoszą głownie, łatwo przeistaczalne w niebezpieczne żagwie. Wszystko idzie w kierunku nowego, zdecydowanego posunięcia się naprzód imperjalistycznego planu Japonji. Konieczność kontynuowania tego programu jest dziś dla Japonji państwowem „być albo nie być". Ludności przybywa stale. Wyspy nie są w stanie wyżywić wielomiljonowej masy. Rozbudowany przemysł nie może i nie chce runąć. Wpływy partji wojskowej są nadal przemożne. Zagarnięto Mandżuko, zagarnia się Chiny Północne, trzeba opanować Mongolję Wewnętrzną!

Japonja idzie naprzód!

Idzie po kontynencie, na którym spotyka Sowiety — Sowiety prące do Oceanu, prące do Chin nietylko dla komunistycznej propagandy, prące tam również ze względów ekonomicznych Rosji europejskiej, Rosji centralnej.

Tylko kapitulacja jednego z tych czynników może nie dopuścić do starcia.

Japonja skapitulować nie może!

ZBĘDNE TRUDNOŚCI

Ciągnienie czwartej klasy — to najbardziej emocjonujący okres dla wszystkich graczy Loterji Państwowej. Bo chociaż każda klasa ma swoje atrakcje, w postaci wielkich i średnich wygranych, to jednak miljon, stanowiący główną wygranę klasy czwartej, posiada niewątpliwie urok specjalny, szczególnie pociągający.

Zdawałoby się, że każdy z tych kandydatów na miljonerów zdaje sobie sprawę, że ten tylko może wygrać, kto gra, to jest — kto posiada los loteryjny i, że powtarzanie tej prawdy jest — wyważaniem drzwi otwartych; doświadczenie jednak uczy, iż liczenie na pamięć ludzką jest zawodne i, że wciąż jeszcze zdarzają się wypadki zaniedbywania odnowienia losu. Wielu z graczy przypomina sobie o tej konieczności dopiero w ostatniej chwili, a są nawet i tacy, którzy decydują się już po rozpoczęciu ciągnienia.

Tego rodzaju wypadki właśnie stają się najczęściej źródłem nieporozumień pomiędzy graczami i kolektorami, a w razie wygranej — stwarzają zupełnie zbędne trudności w jej zrealizowaniu. Pomimo, że Generalna Dyrekcja Loterji Państwowej stara się zawsze iść na rękę graczom, a kolektorzy — w należycie zrozumianym interesie własnym — jako dobrzy kupcy traktują możliwie najliberalniej pewne nieformalności swej klienteli, wytwarza się nieraz sytuacja, w której najlepsze chęci nic już zaradzić nie mogą i gracz niepotrzebnie traci sposobność wykorzystania uśmiechu Fortuny.

A przecież tak łatwo uniknąć tych wszystkich trudności: trzeba tylko zdobyć się na nieco szybszą decyzję. Oto w dniu 9-go września rozpocznie się ciągnienie czwartej klasy trzydziestej szóstej Loterji. Wprawdzie miljon, jako główna wygrana, wylosowany będzie dopiero 28-go tegoż miesiąca, ale już w pierwszym dniu paść mogą wygrane po sto, siedemdziesiąt pięć, pięćdziesiąt tysięcy złotych i t. p., któremi chyba nikt nie pogardzi. Niech więc każdy, kto pragnie wziąć udział w tym ciągnieniu, zaopatrzy się zawczasu w los, a jeżeli mu się poszczęści, to może być pewien, że wygraną otrzyma szybko i bez żadnych przeszkód.

Włodzimierz Łukasik.

PROPAGANDA

Slogan, hasło, krótki aforyzm — oto instrumenty współczesnej propagandy. Z każdego tramwaju, wagonu kolejowego, słupa czy parkanu biją w oczy zwięzłe napisy, lapidarne określenia, reklamujące, głoszące, pouczające. Ponieważ jednak najlepszy trick, stosowany zbyt długo i monotonnie, przytępia wrażliwość odbiorcy, proponujemy przeto małe zmiany, mające na celu usprawnienie naszej propagandy wewnętrznej.

Oto kilka napisów odpowiednio umieszczonych:

W tramwaju: — Podróżuj samolotem.

W więzieniu mokotowskiem: — Wystrzegać się złodziejów.

W szalecie miejskim: — Gdzie się leje — tam się dobrze dzieje.

W gmachu Monopolu Tytoniowego: — Nie palić.

W urzędach państwowych: — Kto rano wstaje tego premjer nie złaje.

W urzędzie skarbowym: — Uśmiechnij się.

W LOPPIE: — Gotujcie się na gazie.

W Wieliczce: — Cukier krzepi.

W wioskach poleskich: — Telefon skraca przestrzeń.

Na lądzie: — Dozbroić Polskę na morzu.

Na morzu: — Dozbroić Polskę na lądzie.

W męskim zakładzie fryzjerskim: — Nasz klijent nasz pan.

W damskim zakładzie fryzjerskim: — Nasz klijent nasza pani.

W sejmie: — Uprasza się o ciszę.

W kinie: — Naucz czytać choć jednego analfabetę.

W Urzędzie Miar i Wag: — Jaką miarką mierzysz taką ci odmierzą.

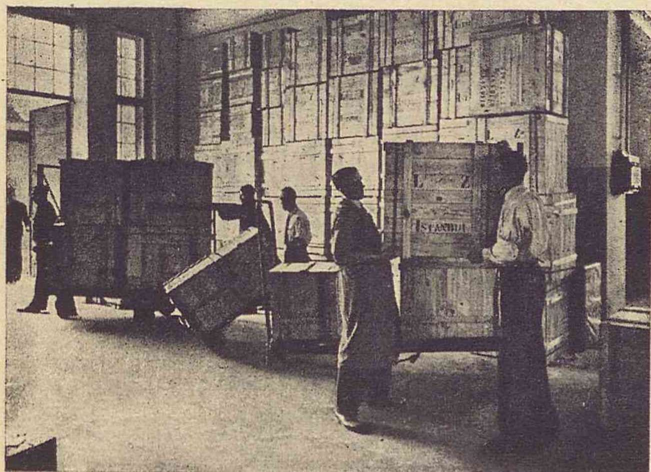
NOWE TUNELE W WĘŹLE WARSZAWSKIM

Przygotowywana przez Ministerstwo Komunikacji elektryfikacja ruchu osobowego węzła kolejowego warszawskiego i odcinków podmiejskich wywołała potrzebę budowy na stacjach węzła i odcinków podmiejskich wysokich peronów osobowych dla ułatwienia podróżnym dostępu do wagonów pociągów elektryfikowanych. Odpowiednie roboty częściowo są już wykonane. W związku z tem dla udogodnienia przejścia na perony różnych kierunków jazdy, z wyłączeniem konieczności przechodzenia po torze, program przebudowy węzła warszawskiego przewiduje zarówno na st. Warszawa Zachodnia, Warszawa Wschodnia, jak też i na stacjach i przystankach odcinków podmiejskich budowę szeregu tuneli osobowych pod torami.

W wykonaniu tego programu wybudowano dotychczas tunel osobowy pod wszystkiemi torami górnemi na st. Warszawa Wschodnia. Również został wykonany i tunel bagażowy.

Na st. Warszawa Zachodnia jest na ukończeniu budowa tunellów: osobowego i bagażowego.

Na odcinkach podmiejskich wykonano tunel osobowy w Pruszkowie, a w budowie są obecnie tunele na przystanku we Włochach oraz na stacjach Grodzisk i Falenica. W najbliższym czasie rozpocznie się budowa tunelu osobowego na st. Rembertów.



Wysyłka większego transportu żarówek Philipsa do Turcji.

Uwadze rodziców

Zwracamy uwagę rodziców na jedyne w Polsce gimnazjum z językiem wykładowym francuskim pod nazwą „Lycée Français de Varsovie", które ma za zadanie gruntowne zapoznanie uczniów z językiem i kulturą francuską.

Praktyczne przepisy gospodarskłe

Najskromniejszy nawet obiad urozmaicić można i dodać mu smaku, podając dodatkowo grzyby lub jarzyny, przyrządzone trwale i smacznie na occie z 80% esencji octowej „Grodzisk".

Do użytku codziennego, jak do sałat zielonych, z pomidorów, do zimnych mięs, sosu tatarskiego — przygotować należy ocet, biorąc 1 kieliszek 80% esencji octowej na 20 kieliszków przegotowanej wody.

Podczas zimy, gdy trudniej o świeże jarzyny, wielkim powodzeniem cieszy się ćwikła lub chrzan utarty, zalane lekkim octem, zagotowanym z odrobiną cukru.

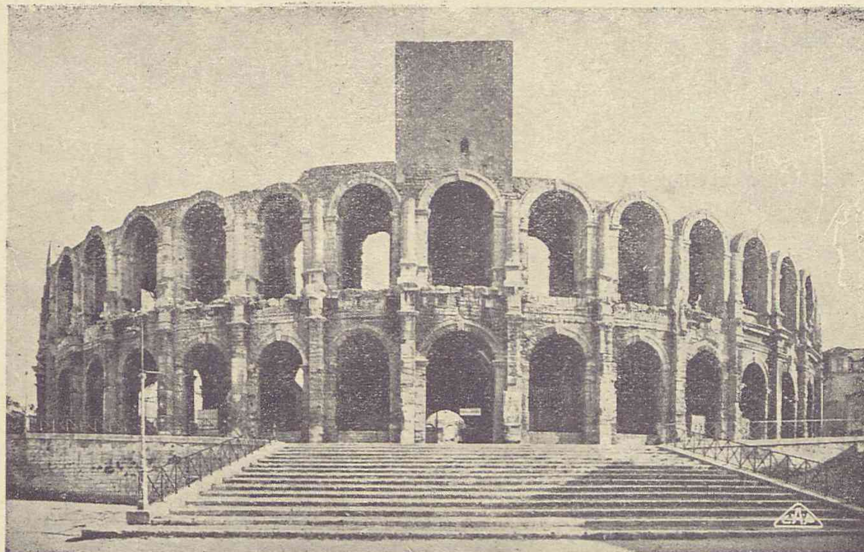
Do grzybów lub pikli z mieszanych jarzynek stosować należy ocet mocniejszy. Mając w domu esencję octową „Grodzisk" otrzymanie octu potrzebnej mocy nie przedstawia żadnej trudności.

K. MOCZARSKI

ASFALT SŁOŃCE I MOTOCYKL

(Wrażenia z podróży po Francji)

(Dokończenie)



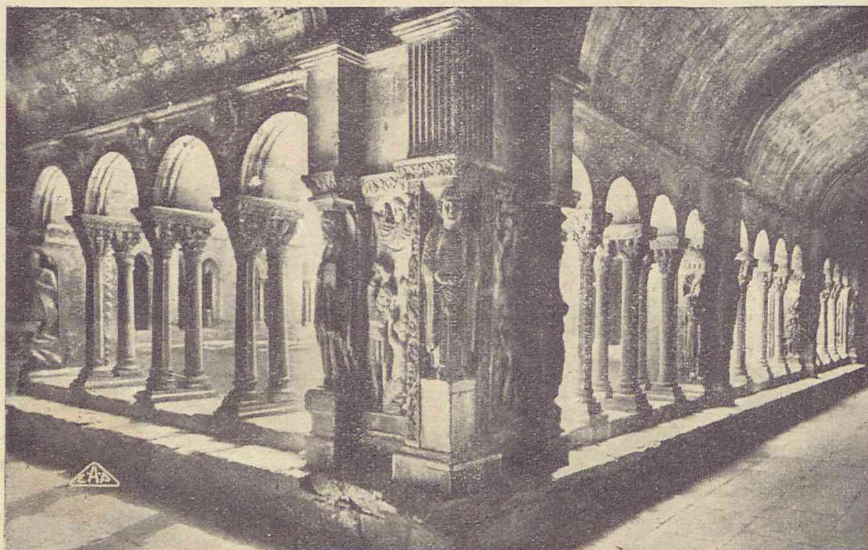
Arles — starorzymskie areny, fronton.

Do *Marsylji*—kochanicy mórz gorących—przybywamy poprzez *Tarascon* i *Aix-en-Provence*. Wjazd bardzo zły. Bruki podłe, stale rozkopane i reperowane; tramwaje ciągle tarasują drogę.

Marsylja. Miasto portowe, pełne zapachu handlowego i zbieraniny marynarskiej z całego świata. Bogata ojczyzna „Mariusów", włóczęgów, przemytników i alfonsów. Okno Francji na Wschód i Południe. Powietrze gorące ma posmak brutalny. Wielki interes, namiętna miłość, ciężka zbrodnia. Życie niema dużej ceny w pyszałkowatej Marsylji. A że Marsylja żyje swym portem, więc i w okolicach jego 26 kilometrów nadbrzeży (quais) najłatwiej pożegnać się ze światem. W przeciągu kilku ostatnich lat zaginęło bez wieści, — oprócz dziesiątek nieznanych indywiduów, trzech konsulów państw cudzoziemskich. Dwuch z nich znaleziono; ale tylko martwe ciała. Trzeciego zaś — angielskiego dyplomaty, który wyszedł na wieczorny spacer po porcie. do dziś dnia szukają.



Arles — areny starorzymskie, w których jeszcze dziś odbywają się walki byków.



Arles — krużganki klasztoru Saint Trophime z XII wieku.

Ludzie są chyba zbyt ciekawi.

Na Place de la Bourse cudzoziemcy skwapliwie oglądają miejsce, gdzie padł Król Aleksander w roku zeszłym.

Następnego dnia wyprawy, po rannej „motowspinaczce" na wzgórze Notre Dame de la Garde (fantastyczny widok na miasto i zatokę), startujemy do ostat-



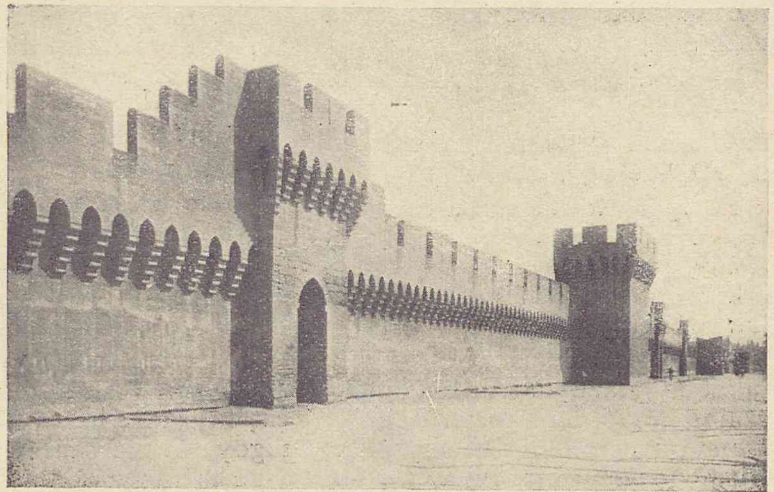
Arles — ruiny teatru rzymskiego.

sku. Jak przekonywująco opowiadał nam — entranżerom z Północy — ów mechanik garażowy z av. Gambetta o ucisku narodowościowym w Sabaudji, o liczbie kolonji italskiej w Nicei i o przemyślnej polityce mniejszościowej francuzów, grających na tarciach między elementem faszywstowskim a działaczami włoskiej emigracji politycznej. Coprawda i francuzi skarżą się na politykę swego rządu. Rzeczywiście trudno jest zrozumieć dlaczego przy budowie pobliskich wojskowych fortyfikacyj antywłoskich jest zatrudnionych tylu Włochów.

W każdym razie francuska „Sûreté Générale" ma sporo kło-

niego etapu: Marseille—Nice (240 kilometrów).

Do Tulonu droga wśród pagórków i skał. Za tulońską bazą śródziemnomorskiej francuskiej marynarki wojennej, deszcz chwyta naszą trójkę. Bądźcie zdrowe, zachwalane w przewodnikach „soczyste" krajobrazy. Pusto. Wszystkie sławne *St. Moritz'e, Juan les Pins'y, St. Tropez'y* przecierają oczy deszczem. Mimo ulewy jedziemy pięćdziesiątką. Autostrada zmyta wodą, bez śladu błotnej mazi. Maszyna trzyma się dobrze. Byle tylko nie hamować nagle. Wtedy poślizg i potrzaskanie się pewne. Pod Cannes łapiemy defekt. Na deszczu kleimy tylną gumę, — z rezygnacją, z zimną wściekłością.



Avignon — Szańce zamkowe.

Dopiero około piątej popołudniu, głodni i przemoczeni, paradujemy nicejską Promenade des Anglais chłodną, zapłakaną, bezsłoneczną.

Nicea. Dawne wielko - kapitalistyczne schronienie rozrzutnych wywczasowiczów. Dumna kiedyś i zdemoralizowana. Dzisiaj miasto przycichło setkami bezrobocznych hoteli, pełne żalu do nieprzybywających turystów, rzucające się w drgawkach kosztownej reklamy.

Lepiej chodźmy rzucić okiem na dzielnicę handlową. W porcie dźwigi okrętowe pracują ciężko; „chômeurzy" wałęsają się bulwarami.

W starej, wąsko-ulicznej Nizzy smród, biedota i gromady wątłych dzieci o czarnych, południowych oczach. W tej nieeleganckiej Nicei dnia powszedniego, wyczuwa się tętno walki podziemnej, wyzwoleńczej. Szerokie t. zw. najniższe warstwy ludności czują i mówią stale po włopotu z jasną strojną, kobiecą Niceą, która i nam sprawiła niespodziankę u kresu tej słonecznej, motocyklowej eskapady, kapryśnie witając swych gości serdeczną, szarą, gwałtowną ulewą.



ARKADJUSZ AWERCZENKO

PODWIECZOREK

(nowela)

Siedziałem przy biurku w moim gabinecie. Przede mną było otwarte okno, za oknem rozciągał się stary ogród, w którym stała zielona altanka. Okna altany, podobnie, jak i mego pokoju, były naoścież otwarte, dzięki czemu mogłem doskonale widzieć znajdujące się w niej osoby: mężczyznę i kobietę, którzy właśnie zasiadali do podwieczorku.

Kobieta wyjęła z małego kredensiku porcelanowy serwis, przetarła go serwetką i ustawiając na stole filiżanki, spytała męża:

— Herbatę wolisz mocniejszą..?

— Oczywiście — odburknął mężczyzna — przecież wiesz, jaką zwykle piję.

Po tych słowach, nie odrywając oczu od gazety, podniósł filiżankę do ust, pociągnął potężny łyk i w tej chwili poderwał się, jak wściekły:

— Co to ma znaczyć? — wyjąkał z wyraźnym trudem, opuszczając nisko na piersi głowę, niczem śmiertelnie trafiony ptak. Niedługo jednak trwał w tej pozycji. Wnet bowiem zerwał się z krzesła i obrzuciwszy żonę wzrokiem, pełnym pogardy, zawył:

— Zrobiłaś to umyślnie!

— Cóż ja takiego zrobiłam? — z przerażeniem spytała kobieta.

— Nalałaś mi ukropu!

— Jakiego znowuż ukropu? Przcież to jest zupełnie normalna herbata.

— Ładnie mi normalna herbata ukrop!

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że to z twojej strony podłość! Całe gardło przez ciebie sobie poparzyłem!

— Ależ...

— Z pewnością masz kochanka, skoro już zaczynasz knuć zamachy na życie swego rodzonego męża.

— Ależ kochanie, zrozum, że sam sobie jesteś winien!

— Ja? Ciekaw jestem, jakim sposobem?

— Jak jesteś taki bałwan, że żłopiesz ukrop, to nie powinieneś był żenić się ze mną, tylko sobie popijać zimną herbatę.

— Toś ty nie powinna była wychodzić zamąż za takiego bałwana, to jest tego... Zresztą sama jesteś skończona idjotka. O, właśnie tak: skoń-czo-na id-jotka!

— **Ja?**

— Tak, ty!

— No wiesz, co chcesz przez to powiedzieć?

— To, że jak komuś podaje się do picia ukrop, to conajmniej trzeba go o tem uprzedzić.

— Szczególne. Twego najlepszego przyjaciela Mikołaja stale częstuję taką samą herbatą, a on nigdy się nie skarży.

— Bo widocznie ten twój cały Mikołaj musi mieć zamiast gardła, deszczową rynnę... stary dziwkarz.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— A dajże mi święty spokój razem ze swoim Mikołajem! Poprostu zamęczasz mnie powoli, ale systematycznie: dziś, dałaś mi ukrop, jutro dasz mi znowuż jakieś inne gorące świństwo i będzie to powtarzało się tak długo, dopóki nie umrę. A wówczas ty ze swoim dobranym Mikołajem będziesz sobie żyła i używała szczęśliwa i swobodna, bez obawy, że pewnego pięknego poranku, mąż cię nakryje na gorącym uczynku ordynarnej zdrady.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — po raz setny powtórzyła żona.

— Mówię, że jeżeli jeszcze raz podasz mi taki ukrop, to...

Na te słowa żona zerwała się od stołu, przewróciła krzesło i zaczęła krzyczeć, jak opętana:

— To nie jest żaden ukrop! To jest herbata! Zwykła, najzwyklejsza w świecie herbata! Wszyscy przecież taką samą zawsze pijemy, ty wstrętny barbarzyńco! Wszyscy pijemy tę samą herbatę!

W tym momencie otworzyły się boczne drzwi i do wnętrza wsunęła się wysoka, chuda kobieta. Prawdopodobnie krewna.

Żona przywitała się z kościstą damą, poczem odezwała się do męża:

— O, świetnie! Lili najlepiej nam powie, bo chyba w tem wszystkiem zupełnie nie jest zainteresowana. Lili, proszę cię, skosztuj tę herbatę i powiedz, czy jest gorąca?

Lili wzięła filiżankę do rąk, umoczyła usta i skrzywiła się z niesmakiem:

— Fe! Ty nazywasz to herbatą? Przecież to jest jakieś letnie paskustwo!

Słysząc to, pan domu schwycił się za głowę i jak warjat zaczął biegać po altanie.

— Ha, ha! Letnie paskustwo! krzyczał histerycznie — widzę teraz, że wszyscy zmówiliście się przciwko mnie. Jeżeli to jest paskustwo, to wy obie razem jesteście jeszcze większe paskustwa!

— Iwanie Iwanowiczu — odparła z godnością Lili — mnie możecie obrażać, gdyż jestem ubogą dziewczyną, z musu mieszkającą u swojej siostry, ale powinniście się zastanowić, zanim cośkolwiek powiecie na swoją dozgonną towarzyszkę życia.

— Nie mam się czego zastanawiać!

— To już wasza rzecz. Lecz w takim razie pozwolę sobie powiedzieć, iż uważam wasze postępowanie za grubiańskie. Jeżeli siostra moja nie podoba się wam, to mogliście nie brać jej za żonę, wszakże mężczyzna, który znęca się nad bezbronną kobietą, jest w moich oczach podłym zwierzem!

I znów otworzyły się drzwi i do altanki weszła tym razem stara niania.

— Czego państwo tak hałasują? — powiedziała zła — dziecko zaledwie usnęło.

Nie skończyła mówić, gdy mężczyzna schwycił ją za rękę, pociągnął naśrodek pokoju i zawołał:

— Nianiu! Jesteście jedyną rozsądną kobietą w tym domu. Proszę mi powiedzieć, czy można pić tę herbatę?

Niańka skosztowała herbatę, poczem oświadczyła tonem, pełnym przekonania:

— Nie, tej herbaty stanowczo pić nie można!

— No! — wykrzyknął triumfalnie mąż — nie mówiłem, że niania jest jedyną rozsądną kobietą w całym domu?

— Zwyczajnie schlebia ci, ponieważ chce, żebyś podwyższył jej pensję — odrzekła żona — poprostu udaje, że niby sobie poparzyła wargi.

— Jakto: poparzyła? — zdziwiła się niańka — herbata jest zimna, jak lód.

— Co takiego?! — ryknął nato pan domu — zabieraj mi się stąd w tej chwili, wiedźmo stara, albo cię zamorduję!

— Ależ proszę łaski szanownego pana... — jęknęła wierna piastunka połykając łzy.

Nie mogłem pozostać dłużej biernym widzem. Chwyciłem kapelusz i pobiegłem do mych sąsiadów.

— Wybaczą państwo — powiedziałem — że jako nieznajomy, nachodzę ich mieszkanie. Ale ponieważ z mojego okna widziałem całą scenę, jaka u państwa rozegrała się, to pozwolę sobie zabrać w tej sprawie głos. Otóż, każde z was, drodzy państwo, miało ze swego punktu widzenia, rację. Pani szanowna, nieumyślnie podała swemu małżonkowi, zbyt gorącą herbatę, przez co mąż pani sparzył sobie wargi i wszczął sprzeczkę. Siostra pani, przyszła dopiero po dziesięciu minutach, a wówczas herbata była już, oczywiście, tylko letnia. Szanowna niania zjawiła się o dziesięć minut później od siostry pani, dzięki czemu mogła z czystem sumieniem zeznać, że herbata jest zupełnie zimna. Albowiem temperatura płynów, jak powszechnie wiadomo, zmienia się w zależności od temperatury powietrza, z którem się styka.

— Najmocniej pana przepraszam — przerwał mi gospodarz— ale właściwie, czego pan sobie życzy?

— Ja? Niczego. Chciałem tylko wyjaśnić państwu przyczynę ich nieporozumienia, gdyż z mojego okna wszystko dokładnie widziałem, co tu przed chwilą zaszło.

— Prześliczne wybrał pan sobie zajęcie — ironicznie zauważyła pani domu — sąsiadów podglądać... szpiegować. Wstydziłby się pan lepiej!

— Ładna historja, niema co! — odezwała się uboga krewna — nietylko włazi, nieproszony do cudzego domu, ale jeszcze ośmiela się kazanie prawić. Kretyn!

Niańka zaś dodała:

— U moich poprzednich państwa, gdzie służyłam, to też pewnego razu przyszedł taki jeden elegancki cwaniak, a później, jak wychodził, to z przedpokju palto świsnął. Jazda stąd, mój panie, już pana niema!

Obstąpili mnie wszyscy czworo i niepamiętni swej zażartej jeszcze tak niedawno kłótni, wpatrywali się we mnie wzrokiem pełnym solidarnej nienawiści i niekłamanej pogardy.

Roześmiałem się wgłos i opuściłem rozkoszną altanę. Ludzie jakoś dziwnie nie lubią, gdy im mówić prawdę.

Przełożył:
Tadeusz Wittlin.

Ś W I A T   F I L M U

FRED ASTAIRE

Jak powstaje taniec w nowoczesnym filmie

Dzięki uprzejmości słynnego tancerza, uzyskaliśmy prawo opublikowania tego artykułu.

Pomiędzy tancerzem rewjowym i kabaretowym, chociażby najlepszym, a twórczym tancerzem - aktorem filmowym, jest mojem zdaniem bardzo poważna różnica. W rewji publiczność bardzo chętnie ogląda przez dziesięć minut wyczyny wygimnastykowanych nóg tancerza i poznaje go przy tem nie lepiej, niż buchaltera, który wystawia rachunek za jakiekolwiek świadczenia. W filmie, taniec, który ma wywołać pewne wrażenie, nie może być luźnem zestawieniem, choćby najciekawszych figur tanecznych. Takiego tańca nie wytrzymałby w kinie nawet największy wielbiciel filmów tanecznych. W filmie każdy poszczególny taniec, ba, nawet każdy poszczególny krok musi posiadać swój sens, musi tempem, nastrojem, wyrazem i ruchem pozostawać w najściślejszej łączności z biegiem akcji. Dramatyczne, pełne humoru, czy napięcia, czy też groteskowe sceny, muszą być odrębnie traktowane, zarówno przez muzyka, jak i tancerza. Jeżeli naturalnie tancerz ma być artystą a nie rzemieślnikiem.

Jak ja opracowuję swoje tańce?

Gdy tylko otrzymuję daną rolę, studjuję przedewszystkiem najdokładniej manuskrypt, a potem, gdy tylko scenarjusz jest gotowy, siedzę nad nim tak długo, aż przychodzę do przekonania, że idee autora przeszły mi w krew. Następnie z kawałkiem papieru i ołówkiem siadam do fortepianu. Zasadniczo wszystkie tańce moje stwarzam sam i nim wypróbuję pierwszy krok na parkiecie, „piszę" moje tańce choreograficznemi znakami, tak jak kompozytor pisze najpierw swoje piosenki nim wypróbuje je na fortepianie. Jest to praca bardzo powolna, które wiele czasu zajmuje. Dla pięciu tańców w filmie „Panowie w cylindrach", zużyłem przeszło trzy tygodnie czasu.

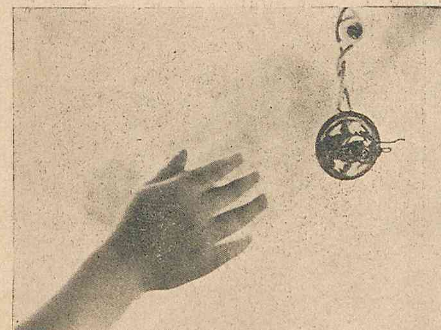
W młodości mojej pracowałem w wędrownych trupach i niejednokrotnie podczas jednego przedstawienia trzeba było pokazać kilka zupełnie różnych rodzajów tańca. W owym to czasie nauczyłem się tańców szkoły wiedeńskiej i rosyjskiej, tańców groteskowych i czysto scenicznych. Przypominam sobie dobrze czasy, w których podczas jednego wieczoru występowałem pod trzema a nawet czterema nazwiskami, a programy teatralne z owych dni należą do najciekawszych w moich bogatych zbiorach. Dzisiaj wyciągam dobrze zasłużone korzyści z wszechstronności nabytej w owych czasach.

Gdy wreszcie tańce moje zostaną wykończone, posyłam notatki moje do studio, gdzie fachowcy, umiejący czytać tego rodzaju notatki, układają na ich podstawie orkiestracje dla tańców zespołowych i w szczególności dla partnerki mojej, Ginger Rogers.

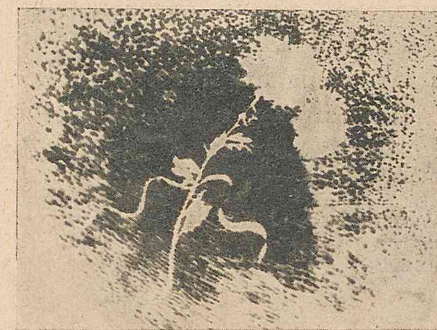
Do zdjęć jest jednak jeszcze ciągle bardzo daleko. Następują próby, najpierw z towarzyszeniem fortepianu tańczę sam, potem w kostjumach przy pełnej orkiestrze. Dla słynnego już dzisiaj „Cheek to Cheek" z filmu „Panowie w cylindrach", ćwiczyliśmy razem z Ginger nie mniej niż 150 godzin. Czas ten został jeszcze przekroczony przy pracy nad tańcami ostatniego filmu p. t. „Błękitna Parada". W tym ostatnim tańczymy 7 razy. Częściowo solo, częściowo razem.

Jak więc Panowie widzicie nie wybrałem sobie zbyt wygodnego zawodu.

Stawiają mi panowie często pytanie, jak utrzymuję się w formie w czasie pomiędzy nakręcaniem dwuch filmów. To jest bardzo ważny problem dla mnie, bo objektywy wykryłyby natychmiast każdą najmniejszą niedokładność i natychmiast zdradziłyby publiczności, że Fred Astaire jest nie w formie, że nie tańczy już tak lekko i wytrzymale jak dotychczas. Na szczęście, lub nieszczęście, jak dotąd nie miałem jeszcze czasu na wyjście z formy, bo pracuję, prawie nieprzerwanie i... na brak powodzenia nie mogę narzekać.



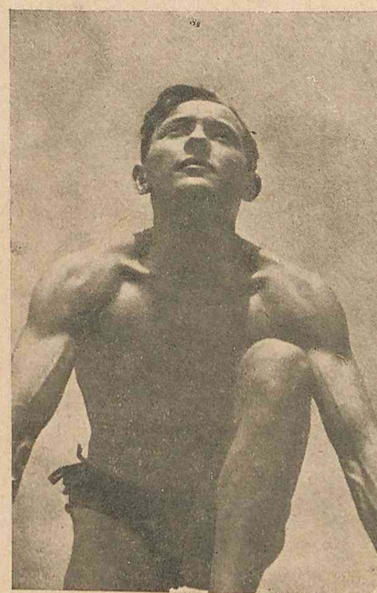
„Zwarcie" film kształcący „Instytutu Spraw Społecznych" 1935/6 r.



„Drobiazg Melodyjny" (film reklamowy firmy „W. Golińska") 1933 r.



„APTEKA" film eksperymetalny 1930 r.



Zdjęcie z filmu krótkometrażowego „Na start" zrealizowanego w/g pomysłu Emmera przez Al. Forda. Zdjęcia Jerzy Maliniak

De Mille przechodzi samego siebie

Słynną bitwę w filmie „Wyprawy krzyżowe", szarżę jeźdźców i bój wręcz zakasuje wielka scena walki, jaką reżyser Cecil B. de Mille zamierza pokazać w swoim najnowszym filmie „The Plainsman". Słynny ten reżyser, który tłumami operować umie nie gorzej od niejednego generała, postanowił w scenie tej zatrudnić 1000 ludzi z pułku kawalerzystów z Woyming i 2500 Indjan. Spodziewa się on, że scena ta zakasuje wszystkie dotąd widziane na ekranie walki kawalerji. Ekspedycja, złożona ze stu osób obsługi technicznej, opuściła w tych dniach Hollywood, udając się do Pole Mountain w Stanie Montana, gdzie przez dziesięć dni dokonywane będą zdjęcia napadu Indjan na oddział kawalerji, strzegącej pociągu z amunicją. W studio poczyniono również przygotowania na wielką skalę do tego filmu. Z przestrzeni trzech akrów usunięto wszystkie, znajdujące się tam dekoracje zbędne, poto tylko, aby wybudować miasteczko Leavenworth City, w którem rozgrywa się akcja filmu. W rolach głównych tego, zamierzonego na olbrzymią skalę filmu grają, jak wiadomo: Gary Cooper i Jean Arthur.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Szpitalna 12. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755
Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja od godziny 11 — 2 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp., tylko po uprzedniem telefonicznem porozumieniu z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. **Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca**

RECENZJE FILMOWE

„Sztandar" — Pan

Legja Cudzoziemska, egzotyzm, przygoda, bohaterstwo i miłość. Z tych niewątpliwie atrakcyjnych pierwiastków stworzono film. Scenarjusz, opracowany według książki Pierre Mac Orlana „La Bandera", pomysłowo i kulturalnie zrealizowany przez Julien Duvivier hojnie szafuje temi motywami. Udział wybitnych artystów francuskich: Annabelli i Jean Gabin'a stanowi również poważny atut. Szkoda, że nie potrafiono tych korzystnych warunków odpowiednio wyzyskać. Szkoda, że w ciekawym scenarjuszu są niezrozumiałe luki i braki logiczne; szkoda, że zupełnie niewyjaśniono psychologicznie paru ważnych przemian duchowych bohaterów. Te wymienione wady nie dyskwalifikują jednak filmu. Znakomita gra trójki czołowych wykonawców, uroda i wdzięk Annabelli, mimo nieodpowiedniej dla niej roli, święci prawdziwy tryumf. Rubaszny humor żołnierski, podany z francuską kulturą i gallijską lekkością, świetnie wyzyskane nawet najbłahsze sytuacje komiczne, stanowią pożądane urozmaicenie dramatycznej akcji.

Kult bohaterstwa i duch rycerski przemawiają sugestywnie do widza, każąc mu przeżywać głęboką tragedję zagubionego w skałach i piaskach Afryki oddziału. Barwnie odmalowane tło i ciekawa, emocjonująca fabuła stwarzają godną widzenia całość.

Nadprogramowy reportaż Cękalskiego „Zwiedzamy stolicę" nudny, mdły, wykonany technicznie na poziomie skandalicznym. Skaczące, nieostre i niekontrastowe zdjęcia, „urozmaicone" monotonnym i niewyraźnym monologiem zachrypniętego speakera nie przyczynią się z pewnością do zareklamowania Syndykatu Propagandy Turystyki m. st. Warszawy, finansującego dodatek.

J.

„Głos Serca" — Bałtyk

Okazuje się, że niewiele potrzeba dla stworzenia dobrego filmu. Nawet przy naiwnej fabule i nieskomplikowanym scenarjuszu zręczna reżyserja i obdarzeni wdziękiem zdolni artyści mogą zapełnić całkowicie dwugodzinny program, dając miłą, pogodną rozrywkę.

Janet Gaynor i Robert Taylor zdobyli bezsprzecznie maximum naszego uznania. Nieporozumienie małżeńskie potraktowali życiowo, a że inteligentny reżyser nie pominął okazji, aby urozmaicić akcję jakąś drobną scenką rodzajowo - humorystyczną, że scenki te są znakomicie podpatrzone i zagrane, typy świetne i tempo żywe — więc nic dziwnego, że film zdobywa uznanie. Przemiła para głównych bohaterów, którym można postawić zarzut życiowy, ale nie filmowy, że od początku do końca nie wiedzą, na co mają ochotę i co powinni robić, staje się osią, dokoła której w zawrotnem tempie zmieniają się nastroje i sytuacje.

Znakomita gra wszystkich wykonawców, miła atmosfera filmu i świetne wyczucie środowiska dają nam wytchnienie i rozrywkę.

By ocena była zupełna, nie można pominąć dobrej muzyki i pięknych zdjęć, oraz bardzo pomysłowych wnętrz i dekoracyj.

J.

„WIERNA RZEKA"



Mieczysław Cybulski gra jedną z głównych ról w filmie p. t.: „Wierna Rzeka" reżyserji L. Buczkowskiego



Pieśniarka polska p. Wiera Gran występuje z powodzeniem w „Paradis" w Warszawie.

REDAKTOR: L. CHRZANOWSKI. Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk „Polska Zjednoczona", Warszawa